

# ELIZA ORZESZKOWA

NAD NIEMNEM,  
TOM DRUGI

**Eliza Orzeszkowa**  
**Nad Niemnem, tom drugi**

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55844102](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55844102)*

*Nad Niemnem, tom drugi:*

**Аннотация**

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

# Содержание

Том II	4
I	4
II	48
Конец ознакомительного фрагмента.	72

# Eliza Orzeszkowa

## Nad Niemnem, tom drugi

### Tom II

#### I

W Olszynie, za olchowym gajem, od którego zapewne folwark ten wziął swe nazwanie, na łagodnej wyniosłości gruntu dom niewielki, drewniany, nieotynkowany, niby z kosza zieleni wychylał się ze starych, ogromnie rozrosłych bzów i z gęstego rzędu fasoli, która, tuż przy ścianie posadzona, gęste i teraz kwitnące swe sploty zarzucała na tyki sięgające prawie niskiego dachu. Z tyłu domu znajdował się spory sad owocowy, prostym częstokołem<sup>1</sup> ogrodzony, bez dróg i upiększeń żadnych; z przodu, za małym, trawą i gdzieniegdzie chwastami porośłym dziedzińcem, po łagodnej spadzistości splotywały aż ku olchowemu gajowi duże i urodzajne ogrody warzywne. Gaj był świeży, czysty, z grubymi i cienkimi drzewami rzadko rozstawionymi na wilgotnej i gładkiej murawie. Za rzadko rozstawionymi i gładkimi pniami przebłyskiwał w płaskich

---

<sup>1</sup> *częstokół* – ogrodzenie z wbitych w ziemię drewnianych pali. [przypis edytorski]

brzegach płynący tu Niemen i ukazywało się gdzieś tam przeciwległe wybrzeże<sup>2</sup>, okryte, jak okiem sięgnąć, gładkim, wilgotnym pastwiskiem. Gdzieś tam, niby drobne obrazki w zielonych ramach, widać było zza drzew pasące się na tej zarzecznej płaszczyźnie trzody albo pastuszków skupionych dokoła roznieconego ognia, albo nędzne, nie wiedzieć czyje, samotnie wśród przestrzeni stojące chaty. Za domem i sadem leżały gładkie pola; z obu stron warzywnych ogrodów zieleń niske łąki, na których rosły grupy wierzb, a w mokrych zagłębieniach gruntu rozrastał się jasnozielony ajer<sup>3</sup> i stały wysokie łoża<sup>4</sup> z długimi, obwisłymi liśćmi i wierzchołkami podobnymi do aksamitnych kołpaków. Było to miejsce ciche, skromne i prawie odludne. Z domu i całego jego otoczenia od razu wnieść było można, że wśród średniej własności ziemskiej Olszynka była posiadłością możliwie najmniejszą. Wniosek ten potwierdzała wieś chłopska pomiędzy łąkami do grupy wierzb przyparta<sup>5</sup>. Składała ją chat kilkanaście, dość czysto i dostatnio wyglądających. Z bliskości, w której znajdowała się od dworku, łatwo było zgadnąć, że kiedyś do Olszynki należała. Był to więc kiedyś mająteczek kilkunastochatowy, czyli znajdujący się na granicy, za którą już do najdrobniejszych ułamków ziemi

---

<sup>2</sup> *wybrzeże* – tu: brzeg [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *ajer* – tatarak. [przypis redakcyjny]

<sup>4</sup> *łoża* – krzew z rodziny wierzbowatych, osiągający wysokość do 5 m; wierzba szara.

[przypis edytorski]

<sup>5</sup> *przyparty* – tu: przylegający. [przypis edytorski]

sptywała własność mała.

Ostry chłód zapanował po niedawno spadłym gradzie; silny wiatr kołysał wierzchołkami kilku rosnących na dziedzińcu topoli włoskich; deszczowe chmury szybko biegły jedna za drugą, to zasłaniając, to odkrywając błękit nieba. Jednak w Olszynie wszystkie okna domu, otoczone kwitnącą fasolą, były na oścież otwarte. Stały na nich pomiędzy kilku mirtami<sup>6</sup> i rozmarynami<sup>7</sup> kwitnące fuksje i róże miesięczne. Na ganku jedna z ławek zastawiona była hładyszami<sup>8</sup> pełnymi zsiadłego mleka, na drugiej stał naprędce znać tu umieszczony kosz z sałatą i jarzynami. Długa sień, przedpokojem zarazem będąca, rozdzielała dom na dwie połowy, z których w jednej znajdowały się pokoje mieszkalne, w drugiej kuchnia i izba czeladna. W głębi sieni wielki zamek wiszący u drzwi niskich i wąskich oznajmiał spiżarnię. Za starą szafą widać było drabiniaste schodki na strych wiodące; pod ścianami stały proste, drewniane skrzynie i stołki, kosze z łożyny<sup>9</sup> uplecione, a na miejscu najwidoczniejszym – niecki<sup>10</sup> pełne świeżo upranej bielizny. Miano ją zapewne na strych wynosić, ale tymczasem tu jeszcze pozostawiono. Zapach mydlin z kuchennymi woniami złączony nappełniał sień pomimo

---

<sup>6</sup> *mirt* – rodzaj krzewu pochodzenia śródziemnomorskiego. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *rozmaryn* – rodzaj krzewu pochodzenia śródziemnomorskiego, jego liście są używane jako przyprawa do mięs. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *hładysz* – gliniany dzban bez ucha do zbierania mleka. [przypis redakcyjny]

<sup>9</sup> *łożyna* – gałązka wierzy. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *niecka* – podłużne, drewniane naczynie. [przypis edytorski]

drzwi na ganek otwarty; w kuchni trzeszczał ogień i rozlegały się głosy kobiece i dziecinne; w pokojach mieszkalnych cicho było zupełnie i tylko czasem dolatywało z nich monotonne mruczenie, z którego można było odgadnąć pracowicie uczące się dziecko.

Po sieni, kuchni i izbie czeladnej krzątała się Kiriłowa. Dla chłodu i panujących w domu ciągów miała na sobie rodzaj sukiennego tołubka<sup>11</sup>, spod którego widać było tylko brzeg perkalowej<sup>12</sup> spódnicy. To nawet gospodarskie, grube ubranie uczynić jej nie mogło grubą i niezgrabną. Ze swą kibicią<sup>13</sup> prostą, wysmukłą, o wdzięcznej linii biustu i ramion, która nadawała jej z daleka pozór pierwszej młodości, z ogorzalą<sup>14</sup> cerą twarzy, silnie odbijającą od zawiązanej na szyi białej chustki, ze ślicznym warkoczem jasnych włosów, niedbale z tyłu głowy skręconym – zaglądała ona do dzieży<sup>15</sup>, w której dziewczyna miesiła żytnie ciasto, albo przechodząc do izby czeladnej naglądała<sup>16</sup> prania bielizny, albo od płonącego w wielkim piecu ognia odstawiała hładysze, w których mleko zsiadłe zamieniło się już na twaróg, i zastępowała je coraz innymi, które z ganku

---

<sup>11</sup> *tołubek* – ciepły kaftan noszony po domu. [przypis redakcyjny]

<sup>12</sup> *perkal* – rodzaj cienkiego płótna. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *kibic* – górna część tułowia. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *ogorzały* – mocno opalony. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *dzieża* – duże, drewniane naczynie, służące do rozrabiania ciasta na chleb. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *naglądać* (reg.) – doglądać. [przypis edytorski]

przynosiła. Miała dnia tego wiele zajęcia około trzech razem odbywających się robót: prania bielizny, pieczenia chleba i robienia serów. Była niezadowolona z siebie samej, bo takie zbieganie się na dzień jeden robót kapitalnych uważała za błąd i złe rozporządzenie się gospodarskie. Należało inaczej, wcale inaczej czas i zajęcie rozłożyć; takim sposobem wszystko razem robiąc, nic się prawdziwie porządnie nie robi. Chodząc, krzątając się, naglądając wszystkiego, a to i owo własnymi rękami dokonując, żale swe wypowiadała dwóm pomocnicom swym, dużym i silnym dziewczkom<sup>17</sup>, z których jedna chleb miesiła<sup>18</sup>, a druga bieliznę prała. Nie znaczyło to wcale, by te dziewczęta o cokolwiek obwiniać miała. Wcale nie. Sama była winna wszystkiemu; czy zaleniła się trochę, czy też jej tak jakoś pomieszało się w głowie. A tu i Marynia plecia ogrodów warzywnych doglądać musi, i pomocną jej być nie może! Ostatni ten wykrzyknik oburzył trzynastoletnią dziewczynkę, która kosz z jarzynami tylko co z ganku przyniosłszy i zawiąawszy po łokcie rękawy starej perkalowej sukienki zabierała się właśnie do mycia sałaty i skrobania marchwi.

– A ja, mamó? – zawołała – przecież ja tu jestem! Czy to tylko Marynia jest mamy córką?

Przechodząc Kirłowa ręką gorącą od hładyszy, które w tej chwili od ognia odstawiła, pogładziła jasne, krótko ucięte włosy córki. Wszystkie one miały takie jak len jasne włosy: i

---

<sup>17</sup> *dziewka* (daw.) – dziewczyna, służąca. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *miesić* – rozrabiać ciasto. [przypis edytorski]

ona sama, i szesnastoletnia Marynia, i trzynastoletnia Różia, i nawet chłopcy. Nie wiedziała tylko, i nieraz nawet aż w głowę zachodziła, skąd ten najmłodszy jej dzieciak, ta czteroletnia Bronia, która jak cień za człowiekiem krok w krok za nią chodziła, wzięła swoją cygańską cerę razem ze swymi czarnymi jak atrament włosami i oczami. Było to w jej rodzinie pod każdym względem wyjątkowe stworzenie. Żadne z jej dzieci, gdy było małe, tak stale i nieustannie nie trzymało się jej spódnicy, jak ten mały i czarny rozczochraniec, bo włosy jej nie tylko były czarne, ale i wiecznie rozczochrane; kręciły się one jak wióry i żeby tam nie wiedzieć ile razy na dzień je czesać, zawsze wszystkie do góry powstawały albo na śniade czoło opadały, a spod nich jak żużle gorejące czarne oczy patrzyły na matkę, ciągle na matkę. I teraz oto tuż przy jej tołubku nieustannie z kuchni do sieni, z sieni na ganek, z ganku do izby czeladnej drepce a drepce w starych zrudziałych trzewikach, których tasiemki, żeby je sto razy na dzień najmocniej związać, zawsze rozwiążą się i wloką po ziemi za malutkimi nóżkami. W takim samym jak matka, tołubku, bo najmłodszą będąc najłatwiej zaziębić się może, drepce i gada, tak samo nieustannie gada, jak drepce, choć nikt jej słuchać ani myśli, a tylko jedna Różia od kuchennego stołu, na którym sałatę myje, odzywa się do niej czasem, z żartobliwą przekorą rozpoczynając sprzeczki czy napomnienia, o które znowu ona wcale nie dba. Wtem potknęła się i jak długa upadła. Zaraz przecież zerwała się z ziemi, wystraszonymi oczami patrząc, czy przez czas jej padania matka

jej nie uciekła. Kirłowa na ziemi przysiadła i spełniać zaczęła robotę Penelopy<sup>19</sup>, czyli związywanie u trzewików tasiemek, które były przyczyną upadku.

– Żebyś to ty, Broniu, choć na moment gdziekolwiek przysiadła...

Dziecko zaśmiało się na całą kuchnię, a potem niespodzianie, z zadziwiającą logiką swej czteroletniej, rozczochranej główki odpowiedziało:

– Kiedyż ja, mamó, jeść chcę!

– Masz tobie! – wstając stęknęła Kirłowa – godzinę temu przecież obiad jadłaś...

Dziewczynka tym razem ramiona swe w grubych rękawach tołubka szeroko rozłożyła i bardzo poważnie usprawiedliwiła się:

– Kiedyż ja jeść chcę!

Kirłowa z szafy wyjęła bochen razowego chleba, odkroiła zeń kawał spory, miodem posmarowała i małej podała. Ząbki jak perełki drobne i białe zatopiły się chciwie w czarnym i osłodzonym chlebie macierzyńskim, ale właścicielka ich, głośno przeżuwając i różowe policzki miodem sobie osmarowując, nie mniej wytrwale niż wprzódy<sup>20</sup> przy tołubku, tuż przy matczynym tołubku dreptała, a tasiemki jej trzewików znowu rozwiązane i wijące się w różne esy ciągnęły się za nią po ziemi. Jak

---

<sup>19</sup> *robota Penelopy* – niekończąca się praca. W mit. gr. Penelopa była żoną Odyseusza, która przez 20 lat czekając na nieobecnego męża, który brał udział w wojnie trojańskiej, w dzień tkła, a w nocy pruć swoją robotę, gdyż po jej zakończeniu musiałaby wybrać na nowego męża jednego z zalotników. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *wprzódy* – przedtem. [przypis edytorski]

tam przecież było, to było z córkami, ale co robią chłopcy, mianowicie młodszy Bolesław, którego w bawialnym pokoju co dzień na parę godzin na klucz zamykała, aby już od książki odejść nie mógł. Starszy, Staś, pewno tam z chłopskimi dziećmi po łące czy drodze hasa i powróci z czołem pełnym guzów. Ale jemu więcej wolno, bo z promocją do czwartej klasy na wakacje przyjechał. Bolesław zaś dwa lata już w drugiej klasie przesiedział i jeszcze promocji nie dostał. Złękła się była tego ogromnie. Na rok trzeci w tej samej klasie pozostać nie wolno. Pójdzie precz ze szkoły i co ona z nim potem zrobi? Pojechała do miasta i wyprosiła, wychodziła, wyjęczała dla niego pozwolenie zdania powtórnych egzaminów po wakacjach. Powinien się więc do nich przygotowywać, a nie chce. Swawolny i leniwy. W ojca się wrodził. Cóż robić jednak? Napędzać dziecko trzeba, bo bez szkół – zginie. Ile ją już ten chłopiec bezsennych nocy kosztował! Ciekawość, czy teraz zamknięty w pokoju na klucz uczy się albo pustuje? Wyszła do sieni, aby przez drzwi posłuchać, co się w bawialnym pokoju dzieje, ale w tejże chwili dał się słyszeć stuk, brzęk i na dziedzińcu tętent szybko biegnących nóg. Kirłowa, a za nią malutka Bronia i większa Różia na ganek wybiegły. Okazało się, że więzień, długim zamknięciem zniecierpliwiony, przez okno wyskoczył, wazon z kwitnącą fuksją stłukł i za bramę uciekał. Rozległy się wołania matki i sióstr, na które przecież był głuchy, z rozrzuconymi włosami, w swej przeszłorocznej<sup>21</sup> podartej bluzce szkolnej co sił uciekając i w ucieczce tej

---

<sup>21</sup> *przeszłoroczny* – *zeszłoroczny*. [przypis edytorski]

ukazując podarte podeszwy butów. Gdyby Kirłowa na bunt ten zrezygnowała się<sup>22</sup> pobłaźliwie, macierzyńska powaga jej ucierpiałaby na tym wielce. Nie pierwszy to już raz zresztą Olszynka była świadkiem podobnych skandalów. Dziewka od dzieży zbiega dogoniła, który z pogardą eskortę jej łokciami odpychając, nadaśany, ale i zawstydzony, do domu wrócił. Kirłowa z rozpaczą w oczach i gestach ze skrzyni stojącej w sieni i będącej składem przeróżnych rupieci gruby sznur dostała.

– Chodź! – z wielką powagą do syna rzekła i za rękę go wzięwszy do bawialnego pokoju wprowadziła, drzwi za sobą zamykając. Słysząc było, że mówiła tam z gniewem i krzykiem, to znowu tonem upominania i przekonywania; wyszła po chwili z twarzą w ogniu, z drżącymi trochę rękami i ustami. Widać było po niej, że to srogie mentorstwo, które zmuszona była względem dzieci swych okazywać, wiele ją kosztowało. Drzwi na klucz już nie zamykała, a na wystraszone i pytające spojrzenie Rózi odpowiedziała:

– Przywiązałam go do kanapy i kazałam uczyć się... Mocno przywiązałam...

Ale wnet uderzyła w nią troska nowa.

– Żeby tylko Staś nie zaziębił się w taki zimny dzień latając... Dziś z rana gardło go bolało. A nie widziałas, Róziu, w czym Marynia do ogrodu poszła?

– Marynia poszła w tołubku, ale Staś poleciał w jednej

---

<sup>22</sup> zrezygnować się na coś (prow.) – pozostawić bez kary, potraktować pobłaźliwie.  
[przypis redakcyjny]

płóciennej bluzce i mówił Rózi, że gardło go coraz gorzej boli.

– Masz tobie! – za głowę schwyciła się Kiriłowa. – Poszłabym go szukać, ale czasu nie mam...

Istotnie, nie miała ani chwili czasu, bo oto i teraz we drzwiach od kuchni zjawił się młody oficjalista<sup>23</sup>, namiestnikiem<sup>24</sup> tytułowany, jedyny jej w gospodarstwie pomocnik, który oznajmił, że ci kupcy, którzy tu tydzień temu zajeżdżali, przybyli znowu i życzą sobie zobaczyć wełnę. Ucieszyła się tą wiadomością bardzo. Miała około dwustu owiec, merynosów, z których co roku sprzedawała mniej więcej dziesięć pudów<sup>25</sup> wełny. Był to jedyny grosz, który wpływał do jej kieszeni w miesiącach letnich nie licząc nabiału i warzyw, których sprzedają w najbliższym miasteczku opędzała potrzeby domowe<sup>26</sup>. Przy zbliżających się żniwach, które znacznego wydatku na robotnika potrzebują, kupcy na wełnę byli jej niezmiernie pożądanymi. Zapomniała na chwilę o chlebie, serach, praniu, przywiązanym do kanapy Bolku i chorym na gardło Stasiu, z wielkim kluczem wyszła z domu i skierowała się ku spichrzowi<sup>27</sup>, przy którego drzwiach oczekiwali na nią przybyli kupcy.

---

<sup>23</sup> *oficjalista* (daw.) – urzędnik. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *namiestnik* – zastępca ekonoma, gumieny. [przypis redakcyjny]

<sup>25</sup> *pud* (ros.) – jednostka wagi, wynosząca nieco mniej niż 16,5 kg. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *opędzać potrzeby domowe* – pokrywać, zaspokajać domowe potrzeby. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *spichrz* – budynek przeznaczony do przechowywania żywności; spichlerz. [przypis edytorski]

Jednokonny ich wózek stał przy bramie; za bramą i dziedzińcem widać było ogród warzywny, na którego zagonach<sup>28</sup> siedziało kilka kobiet wiejskich. W pobliżu tych kobiet, na zagonie także, siedziała młodzianka dziewczyna w sukiennym<sup>29</sup> tołubku, na który spadał gruby warkocz jasnych włosów. Siedziała na zagonie i podnosiła głowę ku siedzącemu na płocie młodemu człowiekowi w myśliwskim ubraniu. Młody ten człowiek miał na plecach fuzję<sup>30</sup> i z wielkim ożywieniem o czymś rozprawiał. Pomiedzy dwojgiem młodych ludzi leżał wielki, czarny wyżeł i pąsowymi czapkami świeciło kilkoro drobnych chłopskich dzieci. Kirłowa patrząc na ten dość daleki, ale wyraźnie widzialny punkt przestrzeni uśmiechnęła się. W rozmawiającej i dziecięcym drobiazgiem otoczonej parze rozpoznała najstarszą córkę swoją i młodego Witolda Korczyńskiego. Nie miała jednak czasu przypatrywać się im długo; z ciężkością wielkim kluczem spichrz otworzyła i we wnętrzu jego wraz z kupcami zniknęła. Zabawiła tam dobry kwadrans, potem ukazała się znowu na dziedzińcu. Wiatr zadał silniejszy jeszcze jak wprzódy i nisko giał szczyty topoli. Olchowy gaj szumiał, za nim przebłyskiwały burzące się fale Niemna; ciemna i gruba chmura w otoczeniu mniejszych i lżejszych sunęła samym środkiem nieba; ostry i zimny deszcz padać zaczął. Kirłowa obejrzała się na ogród warzywny i

---

<sup>28</sup> *zagon* – długi, wąski pas ziemi. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *sukienny* – uszyty z sukna, tj. grubej tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *fuzja* – długa broń palna. [przypis edytorski]

zobaczyła młodą parę wraz z gromadką dzieci i czarnym wyżłem szybko dążącą ku małemu budynkowi, który u końca ogrodów warzywnych do płotu dziedzińca przyparty, służył na skład ogrodowych nasion. Kobiety pielące z zagonów nie wstając podniosły głowy i patrząc na dziecinny drobiazg, który zapewne do nich należał, a teraz pod dach był uprowadzony, śmiały się głośno i z uradowaniem. Kobieta pomiędzy dwoma kupcami od spichrza ku domowi idąca uśmiechnęła się znowu, ale wnet do towarzyszy swych zagadała. W burzliwej fali wichru i deszczu, z mokrymi włosami, zziębłe ręce w rękawy tołubka chowając, szła jak zwykle prosto, zgrabna i z dala dziwnie młodo i delikatnie wyglądająca, ale mówiła głosem podniesionym, z coraz większą energią i zaciętością; słyhać ją było na całym dziedzińcu i aż w kuchni. Targowała się z kupcami, którzy jej dawali po osiemnaście rubli za pud wełny, a ona żądała po dwadzieścia. Coraz głośniej i energiczniej dowodziła przymiotów<sup>31</sup> swego towaru, zsyłała się na Korczyńskiego i innych sąsiadów, którzy za tę cenę wełnę swą sprzedawali, przysięgała na dzieci, że taniej nie odda. Tak doszła aż do ganku, na którym jednak, gdy stanęła twarzą ku dziedzińcowi zwrócona, umilkła, a potem wykrzyknęła:

– A toż co?

Drogą pomiędzy gajem olchowym a warzywnymi ogrodami szybko jechała i już ku otwartej bramie dziedzińca zawracała zgrabna, błyszcząca od szkieł i posrebrzeń, czterema pięknymi

---

<sup>31</sup> przymiot – cecha, zaleta. [przypis edytorski]

końmi ciągnięta kareta. Konie były w angielskich szorach<sup>32</sup>, na koźle siedział brodaty stangret i młody lokaj w zielonej, pozłacanych taśmami szamerowanej<sup>33</sup> kurcie. Poznała karete i konie Różyca. Kupcy na widok przybywającego grzecznie oświadczyli, że do odjazdu gościa na zakończenie interesu czekać będą. Ale Kirlowa nie słyszała tego, co mówili. Zmieszała się tak, że przywiedłe policzki i drobnymi zmarszczkami porysowane czoło okrył aż po brzegi jasnych włosów świeży jak u młodej dziewczyny rumieniec. Wielki Boże! Trzy hładyszki z mlekiem zsiadłym na ławce ganku, w sieni niecki z mokrą bielizną i zapach mydlin, a ona sama w starym tołubku i białej muślinowej<sup>34</sup> chustce na szyi! Do sieni wpadła i z energicznymi gestami przywoływała dziewczkę kuchenną, półgłosem rozkazując jej wnieść do izby czeladnej niecki z bielizną. Dziewka bosa, w grubej koszuli i krótkiej spódnicy, z czerwonymi, po łokcie obnażonymi i twarogiem poplamionymi rękami, wypadła z kuchni, porwała niecki i biegła z nimi przez sień właśnie w chwili, kiedy Różyc wysiadłszy z karetki w progu domu stanął. Za nim, na ganku, widać było zieloną, złotym galonem oszytą czapkę i trochę hardą, a trochę drwiącą twarz młodego lokaja. Dziewczyna z nieckami jak wryta stanęła, szeroko oczy i usta otwierając, i żadne mrugania ani gesty gospodyni domu

---

<sup>32</sup> *szory* – rodzaj uprzęży; szeroki skórzany pas zakładany na pierś konia wraz z pomocniczymi rzemieniami. [przypis redakcyjny]

<sup>33</sup> *szamerowany* – obsyty ozdobnym sznurem. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *muślin* – półjedwabna tkanina. [przypis edytorski]

zruszyć jej z miejsca nie mogły. Ale Różyc zdawał się wcale nie spostrzegać kłopotu, którego był przyczyną, i twarzą ku wieszadłom zwrócony, bardzo powoli, z pomocą lokaja paltot<sup>35</sup> zdejmował. Potem zwrócił się ku gospodyni, która milcząc ze zmieszania rękę mu na powitanie podawała. Zrazu mniemać by można, że z niejaką przykrością przyjdzie temu wykwintnemu panu ścisnąć tę opaloną, widoczne ślady bliskich stosunków z kuchnią i praczkarnią noszącą rękę kobiecą. Przed chwilą właśnie od dotykania worów z wełną przyłgnęło do niej trochę białawego pyłu, a przy zakręcaniu wielkiego klucza w zamku spichrza gwóźdź jakiś ją zadrasnął i pozostawił długą, czerwoną kresę. Jednak Różyc, nisko pochylony, złożył na tej ręce pocałunek nie ceremonialny, ale długi i przyjacielski. Bardzo ładne i jeszcze różowe usta Kirłowej zarysowały pośród zwiędłej twarzy uśmiech serdeczny. Otworzyła drzwi bawialnego pokoju.

– Proszę wejść, kuzynku, bardzo proszę; tak cieszę się, że cię widzę... tak dawno u nas nie byłeś!

Widać było, że cieszyła się istotnie, ale zaledwie przestąpiła próg pokoju, rumieniec znowu zalał jej twarz i czoło. Na kanapce przed rozłożoną książką siedział nadąsany, jak piwonia czerwony Boleś z nogą do nogi kanapy przywiązaną. Ten okropny chłopiec wyskakując przez okno rozlał atrament i w kilku miejscach poplamiał nim pomalowaną na czerwono podłogę; w dodatku tuż przy jej tołubku znalazła się znowu Bronia, ta czarna, rozczochrana Bronia ze swymi utrapionymi tasiemkami od

---

<sup>35</sup> *paltot* (przestarz.) – okrycie wierzchnie; *palto*. [przypis edytorski]

trzewików, które ciągnęły się po ziemi. Mniejsza już o te tasienki, ale chłopca odwiązać trzeba, choćby dlatego, że siedzi na jedynym miejscu, na którym z gościem swym zasiąść ona może!

Pobiegła ku kanapie, przysiadła na ziemi i drżącymi trochę rękami rozwiązywała sznurek, który sama z przebiegłością więziennego dozorca w mnóstwo węzłów była splątała. Różyc i tego jej kłopotu zdawał się wcale nie spostrzegać. Nachylił się do Broni pytając, czy zdrowa i dlaczego sobie czarnych oczu lepiej nie umyła, a potem nawet wziął dziecko na ręce i w oba miodem usmarowane policzki je ucałował, z wolna znowu na ziemi postawił. Podniesienie tego małego ciężaru sprawiło mu znać zmęczenie, bo ręką powiódł po drgającym czole i głęboko odetchnął. Binokle<sup>36</sup> opadły mu na piersi. Uśmiechał się do dziecka, ale wyraz oczu jego był smutny. Na koniec, uwolniony z więzów chłopiec, czerwony i zawstydzony, w kształcie ukłonu szasnął przed gościem nogami, z pokoju wypadł i drzwi za sobą ze stukiem zatrzasnął. Różyc trzymając ciemną rączkę dziewczynki zwrócił się do Kiriłowej:

– Ta faworytka<sup>37</sup> moja wyrośnie na niepospolicie piękną kobietę; zobaczysz to, kuzynko. Już ja się na tym znam!

– Zawsze jesteś łaskaw dla małego rozczochnańca tego, kuzynie – ze swym ponętym uśmiechem odpowiedziała Kiriłowa, ale oczy jej miały ciągle wyraz roztargniony i postawa

---

<sup>36</sup> *binokle* (daw.) – okulary [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *faworyt* – ulubieniec. [przypis edytorski]

była wahająca się i zmieszana. W małej bawialni swej spostrzegła nieporządki, które ją zawstydzaly. Kwieciste perkalowe pokrycie skromnych sprzętów swawolni<sup>38</sup> jej synowie poplamili piaskiem i atramentem, pył okrywał stojącą pomiędzy oknami mahoniową<sup>39</sup> komodę, i była to już wina Rózi, do której codziennie sprzątanie mieszkania należało. Z pośpiechem zamykała drzwi, przez które widać było sypialny pokój z dwoma usłanymi łózkami i toaletą mahoniową, wielkim lustrem i rzeźbami przyozdobioną. Łóżka były czyste i nawet ozdobnie usłane, a staroświecka wyprawna jej toaleta stanowiła sprzęt dość osobliwy i kosztowny. Ale Kirłowa pamiętała dobrze o tym, że sypialnia, nawet najozdobniejsza, nie powinna ukazywać się oczom gości. Cóż, kiedy w tym domku były po stronie mieszkalnej tylko cztery pokoje: bawialny, sypialny, dziecinny i mała jadalnia, w której teraz sypiali chłopcy i kilka kur siedziało na jajach. Nie sposób było w takiej ciasnocie zachować wszystkie przepisy przyzwoitego urzędzenia domu. Właśnie w chwili kiedy drzwiami otwierającymi się z jednej tylko strony widok sypialnego pokoju przed gościem zasłaniała, Rózyć prawie pieszczotliwym ruchem rękę jej zdjął ze starej, żelaznej klamki i zatrzymując ją w swych chudych, ale jak atlas białych i gładkich rękach, z uśmiechem zaczął:

– Widzę, kuzynko, że przyjazdem swoim sprawiam ci zawsze kłopot, i to mnie martwi... Będę w tym wypadku, o! tylko w tym

---

<sup>38</sup> *swawolny* – niesforny, rozbrykany. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *mahoniowy* – z ciemnoczerwonego drewna mahoniowca a. w kolorze mahoniu. [przypis edytorski]

wypadku, lepszy od ciebie, bo zupełnie otwarty, i poproszę, abyś mnie szczerzej uważała za krewnego swego, przed którym nie czuje się potrzeby ani ukrywać czegokolwiek, ani czegokolwiek się wstydić... Dobrze, kuzyneczko? Proszę powiedzieć, że tak nadal będzie. Dobrze?...

Rękę jej ciągle w dłoniach swych trzymając mówił to z tak serdecznym połączeniem żartu i czułości, że Kirłowa, uradowana i ujęta, znowu po brzegi włosów zarumieniona, rękę jego mocno ścisnęła.

– Dziękuję ci, Teosiu – zaczęła – bardzo dobry jesteś... ale ja, widzisz, mam dawne przyzwyczajenia moje, których nigdy pozbyć się nie mogę...

– Niechże ci więc te przyzwyczajenia brużdżą w stosunkach z innymi, ale nie ze mną – żywiej niż zwykle zawołał Rózyca. – Zresztą – dodał – powinnaś wiedzieć, że tyle już widziałem i zaznałem wszelkiego rodzaju zbytków, że mnie największe bogactwa zadziwić nie mogą. Gdybyś była taka, jakimi zwykle bywają kobiety bogate, mniej bym się czuł do ciebie pociągniętym...

Zupełnie już ośmielona, z figlarnym błyskiem oczu, który zdradzał, że kiedyś, w pierwszej może młodości, zalotność zupełnie obca jej nie była, zauważyła:

– Lubisz rozmaitość, kuzynku, i temu to widać względy twe zawdzięczam!

Siadając obok niej na kanapie, z uśmiechem odpowiedział:

– Jestem, moja droga kuzynko, wielkim nicdobrego, który

choruje od objedzenia się marcepanami<sup>40</sup> i z uszanowaniem spogląda na chleb razowy...

– O! – śmiejąc się zawołała – bardzo trafne nazwanie dla siebie wymyśliłeś! Trzeba rzeczywiście być wielkim nicdobrego, aby tak ślicznie urządzić się ze wszystkim...

– Otóż to – potwierdził – otóż tak obchodź się ze mną zawsze! Jesteś jedyną w świecie osobą, która mi w oczy gorzkie prawdy mówi. Z początku mnie tym zdziwiłaś, a potem zachwyciłaś. Chciałbym, abyś mnie więcej jeszcze łajała<sup>41</sup>. To coś na kształt uczucia owych dawnych pokutników, którym się zdawało, że za każdym uderzeniem dyscypliny jeden grzech spadał im z pleców...

– Gdyby wszystkie twoje grzechy z pleców ci zrzucić trzeba by ręki silniejszej niż moja – zaśmiała się jeszcze.

Śmiech jej przecież, z początku swobodny i trochę rubaszny<sup>42</sup>, topniał w żalu, który napełnił jej oczy. Wzięła rękę krewnego i patrząc mu w twarz zapytała:

– Cóż? Jakże? Czy nie chorowałeś bardzo w tych czasach? Może już obejrzałeś swoje majątki? A z tym okropnym przyzwyczajeniem<sup>43</sup>... wiesz! co słyhać? Może choć trochę starasz się przewycięzać?...

---

<sup>40</sup> *marcepan* – słodka masa z migdałów i cukru, symbol luksusu. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *łajać* – strofować, ganić. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *rubaszny* – swobodny, prosty. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *okropne przyzwyczajenie* – chodzi tu o uzależnienie od narkotyku. [przypis edytorski]

Rózyć uśmiechał się niedbale, ale zarazem i przyjaźnie.

– Tyle mi naraz pytań zadałaś, moja droga spowiedniczko – rzekł – że nie wiem, na co w pierw odpowiadać. Nie chorowałem gorzej niż zwykle, ponieważ jedyną chorobą moją jest nieopisana apatia, mam się trochę lepiej, bo znalazłem coś, co mnie w ostatnich czasach trochę podniecać zaczęło. Majątek swoich nie tylko jeszcze nie obejrzałem, ale mnie sama myśl o tych oględzinach w rozpacz wprawia. Wiesz dobrze dlaczego. Lenistwo nieprzezwykłe, zupełne do podobnych rzeczy i ludzi nieprzyzwyczajenie, na koniec i może najbardziej wieczne i nieodparte pytanie: po co?

– Na koniec i najbardziej – z żywością przerwała – to twoje dziwne, okropne, z paskudnego tego świata, w którym żyłeś, przywiezione przyzwyczajenie...

Zaśmiał się głośno.

Kirłowa brwi zmarszczyła, energicznie jednak ściśniętą ręką o dłoń drugiej uderzając zawołała:

– Śmiej się, ile chcesz, a ja zawsze powiem, że to jest jakaś niesłychana i niewidziana okropność... Już nasi chłopci lepsi, co się po prostu wódką upijają...

– Niesłychana i niewidziana rzecz dla ciebie, moja kuzynko, i dla was wszystkich w odludnych kątach żyjących, ale na szerokim świecie rozpowszechnia się to bardzo, staje się prawie epidemicznym...

Bystro zmęczonymi oczami na niego popatrzała:

– Czy nie mogłeś uniknąć tej epidemii? Skąd ją wzięłeś?

Nigdyś mi jeszcze o tym nie mówił.

– Bardzo prosto – odpowiedział. – Pojedykowałem się i byłem raniony w taki sposób, że cierpiałem okropnie... Z początku zadawano mi znaczne dozy narkotyku tego dla zmniejszenia bólów, a potem przywykłem... Jedyne to już dla mnie wyjście, przez które uciekam od ciężkiej nudy, od upadku sił i może jeszcze od... od czegoś podobnego do rozpacz!

Przykrył binoklami oczy, w których przebiegły gorączkowe błyski. Ona słuchała go ze zdziwieniem i ciszej jak wprzód wymówiła:

– Pojedykowałeś się! Jezus, Maria! I to więc prawda, że pojedykowałeś się! Z kim? O co?

Z ostrym, nerwowym śmiechem odrzucił plecy na tylną poręcz kanapy. Po drgającym czole i dokoła śmiejących się ust przebiegła mu błyskawica cynizmu<sup>44</sup>, gdy odpowiedział:

– Z kim? Mniejsza o to! O co? Wiesz? O ścierkę!

Kirłowa obie dłonie do głowy podniosła.

– A niechże diabli wezmą ten wasz wielki świat, na którym rosną takie szkaradztwa i takie trucizny! Wolę już ja być głupią parafianką<sup>45</sup>, gęsią, owcą, a takiego wielkiego świata nie znać!

– I masz słusność – krótko rzekł Różyc.

Słowa te z prostotą wymówione ułagodziły ją w mgnieniu oka. Z powagą jednak mówić zaczęła:

---

<sup>44</sup> cynizm – w znaczeniu potocznym: lekceważenie obowiązujących zasad moralnych i obyczajowych. [przypis redakcyjny]

<sup>45</sup> parafianka – tu: kobieta z prowincji. [przypis edytorski]

– Ponieważ, kuzynie, zwierzyłeś się przede mną ze wszystkim, uważałabym się za podłą, gdybym ci pobłażała i przytakiwała...

Urwała i zmieszała się trochę, bo uczuła nagle, że w mowę jej wplątywać się zaczęły wyrażenia grube i które dla siebie za niewłaściwe uważała. Tych wyrażen i pewnych szorstkich dźwięków głosu nabrała w ciągłej styczności ze służbą, z parobkami, z robotnikami, a tak przy tym była żywa, że uniknąć ich nie mogła wtedy nawet, kiedy tego chciała najbardziej.

– Jak wprzód w swoim domu, tak teraz w swojej mowie coś nieeleganckiego spostrzegłaś, prawda? – zapytał przybyły.

Zarumieniła się znowu trochę, ale wnet od siebie myśl odwracając, z zamyśleniem wymówiła:

– Dziwna rzecz! Jesteś jednak i dobry, i rozumny... To tak zupełnie wygląda, jakby w jednym człowieku było dwóch ludzi...

Różyc w rękę ją pocałował.

– Powiedziałas jak filozof. Widzisz, to ta dwoistość jest kluczem do odgadywania wielu na świecie zagadek...

Splotła ręce na kolanach i kołysała głową w obie strony.

– Wiesz co, kuzynie? – zaczęła – zdaje mi się, że byłbyś daleko szczęśliwszy, gdybyś się takim bogatym nie urodził.

– Albo – przerwał – gdybym się był urodził... bardzo głupi.

– Jak to? – zapytała.

– Zgadnij! – zażartował i z ciekawością na nią patrzył.

Przez chwilę myślała.

– Cóż to tak trudnego do odgadnięcia! Gdybyś był głupcem, nie dbałbyś o nic i do końca hulałbyś sobie wesoło, a ponieważ, choć późno, do rozumu przyszedłeś, zrozumiałeś, coś zmarnotrawił i stracił!

Śmiał się.

– Nie masz pojęcia, kuzynko, jak lubię z tobą rozmawiać. Zupełnie rozumne rzeczy wypowiadasz w taki sposób...

Zamyślili się oboje. Kobieta znowu roztargniona stawać się zaczęła. Dość długa już rozmowa o przedmiotach obcych codziennym jej zajęciom zmęczyła ją nieco. Przypomniała też sobie swoje dzisiejsze roboty i interesy, myślała: czy też chleb posadzono już do pieca i czy kupcy na wełnę nie zniecierpliwili się czasem i nie odjechali? Wstała z kanapy, a zupełnie jednocześnie z nią podniosła się z ziemi siedząca dotąd u jej kolan mała Bronia.

– Każę zaraz podać herbatę...

Różyc z żywym poruszeniem upewnił, że herbaty nigdy prawie nie pija. Popatrzyła na niego trochę przenikliwie, a trochę ze zmieszaniem. Po chwili jednak śmiało rzekła:

– Mówisz nieprawdę. Herbatę lubisz i pijasz jej wiele... wiem o tym od męża. Ale raz już spróbowałaś naszej i wiesz, że nie jest tak wyborna, jak ta, do której przywykłeś...

Różycą prawdomówność jej widocznie bawiła i ujmowała.

– Moja wina! – zawołał. – Złapałaś mnie na kłamstwie. Wszelkiej rzeczy niesmacznej lękam się jak ognia...

– Trzeba było powiedzieć tak od razu. Po co kłamać? I

bez tego już pewno nakłamałaś w życiu jak ostatni faryzeusz<sup>46</sup>. Przyniosę ci więc konfitur, bo o konfiturach moich nie będziesz mógł powiedzieć, że są niesmaczne. Nauczyłam się kiedyś przyrządzać je od Marty Korczyńskiej... Niewiele ich zwykle smażę, ale lepszych pewno i w swoim Wiedniu nie jadłeś!

Prędko wyszła z pokoju, a razem z nią, tuż przy jej tołubku, podreptała Bronia, w ręce klaszcząc i wołając:

– Konfiturzki będą! Konfiturzki! I ja, mamó, chcę konfiturzek!

Z całej, dość osobliwej rozmowy dwojga krewnych dla tej małej, rozczochranej, czarnookiej istotki ten jeden wyraz posiadał sens zrozumiwały.

W gruncie rzeczy oprócz szczerej chęci uczęstowania krewnego Kirłowa pałała żądzą zajrzenia na drugą stronę domu. Musiało tam coś w jej nieobecności zepsuć się czy niezupełnie udać, bo do bawialnego pokoju doszedł po chwili podniesiony nieco głos, którym przemawiała do służących. Potem jeszcze zamieniła już w sieni kilka słów z kupcami i na koniec do bawialnego pokoju weszła niosąc na tacy kilka pełnych konfitur spodków. Tuż obok niej, potykając się co chwilę o rozwiązane tasiemki trzewików, przydreptała Bronia. Za nią Rózia wniosła talerz pięknych malin i miarki cukier w staroświeckim, kunsztownie wyrobionym kubku. Takie kosztowne i piękne przedmioty, jak mahoniowa komoda pod

---

<sup>46</sup> *faryzeusz* – członek żydowskiego stronnictwa polityczno-religijnego; przen. człowiek obłudny. [przypis edytorski]

ścianą, dwa olejne portrety na ścianie, toaleta<sup>47</sup> z wielkim lustrem i rzeźbami, srebrny, osobliwego kształtu kubek, dziwnie odbijały na skromnym aż do ubóstwa tle tego domu, przypominając zarazem, że gospodyni jego pochodziła ze starego i niegdyś bogatego domu.

Postawiwszy na stole maliny i cukier Różia, poważnie prostując swą jak u matki zgrabną i już wysmukłą kibić z jasnymi, krótko uciętymi włosami, które przy każdym jej kroku w górę nieco podlatywały, wyszła z pokoju. Matka szepnęła jej coś o bieliźnie, kupcach i Stasiu.

Różyc prędko i z pewną gwałtownością w ruchu ręki podnoszącej do ust łyżeczkę, jedząc konfitury mówić zaczął:

– Wyborne, istotnie wyborne! Przepadam za słodyczami i paru godzin obejść się bez nich nie mogę! Więc nauczyłaś się smażyć konfitury od panny Marty Korczyńskiej... od tej oryginalnej starej panny... Bardzo to jest szanowna osoba, skoro takie umiejętności posiada... Ale, *à propos*, dawno widziałas pannę Justynę?

Kirłowa, spodek, na który położyła trochę konfitur, wkładając w ciemną rączkę Broni, żywo odpowiedziała:

– Zdaje się, że nikt jej tak niedawno, jak ty, kuzynku, widzieć nie mógł. Przyjechałeś tu przecież z Korczyzna.

– Skądże wiesz?...

– Słyszałam, jak o tym w kuchni mówił twój lokaj, i przyznam

---

<sup>47</sup> *toaleta* – mebel z lustrem i szufladami, służący najczęściej kobietom. [przypis edytorski]

ci się, że zła jestem na ciebie za to ciągle podjeżdżanie do Korczyna...

– Naprzód nie ciągle, bo byłem dotąd zaledwie kilka razy, a potem, czegoż zła jesteś?

– Wiesz o tym dobrze – sarknęła.

– Łaj mnie więc – odpowiedział – pozwalam i nawet proszę. Ale cóż ja temu winien jestem, że panna Justyna bardzo mi się podoba?

– Otóż to! – zawołała. – Dla ciebie i tobie podobnych jedna jest tylko ważna rzecz na świecie: podoba się albo się nie podoba. Zresztą nic.

– Masz słuszość – odrzekł.

– Ale na koniec – z coraz większą irytacją wołała – z czego ona, na nieszczęście swoje, tak bardzo ci się podobała? Przystojna jest, to prawda, ale tysiąc piękniejszych widziałeś pewno na świecie. Kokietką<sup>48</sup> nie jest...

– Otóż to – potwierdził Różyc.

– Edukowali ją wprawdzie krewni, ale znowu ta edukacja nie jest tak bardzo świetna...

– Otóż to – powtórzył.

– Szczególniej od tej swojej historii z Zygmuntem Korczyńskim zrobiła się bardzo poważna, nie stroi się, nie zaleca do mężczyzn, nie szczebiocze...

– Otóż to – raz jeszcze wymówił.

– Więc cóż? Wy tam przecież na świecie do wcale innych

---

<sup>48</sup> *kokietka* (przestarz.) – kobieta zalotna. [przypis edytorski]

kobiet przywykliście i dla wcale innych głowy tracicie!

Przestał jeść konfitury, których prędko zjadł bardzo wiele, i o poręcz kanapy plecy opierając, z na w pół żartobliwą, a na w pół szczerą powagą mówić zaczął:

– Przede wszystkim masz wiedzieć, że takie kryształowe, jak ty, osoby<sup>49</sup> wcale się na takich rzeczach nie znają. My tylko, wiesz? nicponie, wiemy dobrze, dlaczego do tej lub tej kobiety pociąg czujemy... Rozumiesz? Pociąg, czyli instynkt, który daje nam wiedzieć, że z tą właśnie kobietą wychylić możemy w pełni tego słowa znaczeniu kielich rozkoszy... Otóż i rumienisz się teraz jak pensjonarka<sup>50</sup>... Ach! ach! cóż to za boska rzecz taki rumieniec na twarzy matki pięciorga dzieci!

Rumieniła się istotnie, po swojemu, dziewiczo płomiennym i świeżym rumieńcem, ale przewyciężając zawstydzenie, poważnie rzekła:

– Nic nie szkodzi. Mów wszystko. Chcę wiedzieć, co myślisz o Justynie...

– Zatem – mówił dalej – na pierwszym miejscu stoi tu pociąg, czy jaśniej dla ciebie wyrażając się, sympatia. Do panny Justyny uczułem od razu sympatię... wyznaję nawet, że bardzo, bardzo żywą... Masz słuszność, że wiele, wiele piękniejszych kobiet znałem na świecie i nawet... zdrowie i majątek na całopalenie<sup>51</sup>

---

<sup>49</sup> *osoba kryształowa* – osoba bez skazy, z zasadami. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *pensjonarka* – uczennica pensji dla dziewcząt; osoba niedoświadczona, niewinna. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> *całopalenie* – ofiara całopalna, polegająca na spaleniu całego zwierzęcia

przed nimi składałem... Ale w tym kontraście czarnych włosów i szarych oczu, jaki się znajduje u panny Justyny, w jej kibici, ruchach etc. etc. jest coś... coś takiego, słowem... ale *passons*<sup>52</sup>, ty tego nie zrozumiesz... ta dziewczyna ma temperament, upewniam cię, ma nawet wiele temperamentu...

– *Passons!* – powtórzyła Kirłowa. – Cóż dalej?

– Dalej jest to właśnie, co przed chwilą wyliczyłaś. Kokietek, szczebiotek, histeryczek, prawdziwych i fałszywych księżniczek miałem dosyć, zanadto; *toujours des perdrix*<sup>53</sup> nie było nigdy dewizą moją. Dla zmiany, widać, zacząłem przepadać za zdrowiem ciała i duszy, czego najlepszym dowodem jest ta admiracja<sup>54</sup> i to rzetelne przywiązanie, które dla ciebie, kuzynko, powziąłem.

Parę razy zdjął swe binokle i znowu nimi oczy zasłonił. Znowu też machinalnie zaczął jeść konfitury. Nagle, przerywając sobie jedzenie, zaczął:

– Dziś, na przykład, siedziałem obok niej przy obiedzie. Dopóki dawałem jej to i owo do zrozumienia, okazywała się chmurna i odporna, prawie nie odzywała się, nie patrzyła na mnie. Zmieniłem taktykę i zacząłem z tonu obiektywnego... ożywiła się natychmiast i rozmawiała bardzo przyjemnie.

---

poświęconego na ofiarę; tu: symbol poświęcenia. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *passons* (fr.) – mniejsza z tym. [przypis redakcyjny]

<sup>53</sup> *toujours des perdrix* (fr.) – „zawsze kuropatwy”; wyrażenie przysł., oznaczające nieustanną pogoń za wykwintem i rozkoszą. [przypis redakcyjny]

<sup>54</sup> *admiracja* – podziw, uwielbienie. [przypis edytorski]

Opowiadała mi o naturze otaczającej Korczyn, o jakimś parowie nadniemeńskim i wcale pięknym przywiązany do niego podaniu ludowym... w taki sposób, że byłem... byłem prawdziwie zajęty. Bardzo, bardzo jest rozsądna i kiedy mówi o takich rzeczach, które ją zajmują, ma takie ogniki w oczach i coś takiego w układzie ust... Tylko... Szturmem jej wziąć nie można... Dyplomacji cnota potrzebuje... i jest to jedyną jej przywarą, a zarazem i najsilniejszą ponętą...

Kirłowa była tak zamyślona, że ostatnich słów krewnego zdawała się nie słyszeć. Nagle podniosła głowę i tonem takim, jakby znakomitego odkrycia dokonywała, rzekła:

– Kuzynie! Jeżeli Justyna tak bardzo ci się podoba, ożeń się z nią...

Różyc rękę z łyżeczką na stół opuścił, binokle zwykłym sobie prędkim ruchem w dół pociągnął, wpółzdumionym a wpółprzerażonym wzrokiem na krewną popatrzył i śmiechem wybuchnął.

– Wyborny pomysł, kuzynko, wyborny, nieoceniony! – wołał. – Toż bym dopiero niespodziankę urządził światu i samemu sobie! A papa Orzelski? Czy ja bym tę chińską figurkę na kominku u siebie postawił? A francuszczyzna panny Justyny, *entre nous*<sup>55</sup>, dość kulawa? Gdyby się oko w oko spotkała z moją księżną ciotką, chybaby biedna ciotka śmiertelnego ataku spazmów dostała...

Śmiejąc się jeszcze dodał:

---

<sup>55</sup> *entre nous* (fr.) – między nami (mówiąc). [przypis redakcyjny]

– Pomysł twój, kuzynko, świadczy o doskonałej dobroci twego serca i zupełnej zarazem nieznanomości świata... W takich amfibiach<sup>56</sup>, jak panna Justyna, kochać się bardzo można, ale żenić się z nimi – *impossible*<sup>57</sup>...

– Amfobie! – zawołała Kirłowa. – Kobietę do żaby przyrównywać!...

– Naturalnie – przerwał Różyc. – Sama pomyśl: urodzona i nie urodzona, wychowana i nie wychowana, biedna i nie biedna... słowem, nie wiedzieć kto...

Z błyszczącymi od gniewu oczami Kirłowa zapytała:

– Więc po cóż jeździsz do Korczyzna?

– Bo mnie ta niespodziewana dla mnie samego sympatia ożywia trochę, podnieca, i doprawdy, zjawiła się ona bardzo w porę, kiedym już zwątpił o wszelkich urokach życia...

– Ale jakież koniec? – uparcie zapytywała kobieta.

– Moja kuzynko – odpowiedział – za mało jestem filozofem, abym myślał o końcu każdej rzeczy... *Advienne ce que pourra*<sup>58</sup>... I chwila przyjemności do pogardzenia nie jest...

Kirłowa z wielką powagą i stanowczością rzekła:

– Nic z tego nie będzie, mój drogi. Justyna nie da się zbałamucić<sup>59</sup>! Przeszła już ona przez smutne doświadczenie,

---

<sup>56</sup> *amfibia* – organizm zdolny poruszać się zarówno w wodzie, jak i na lądzie. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *impossible* (fr.) – niemożliwe. [przypis redakcyjny]

<sup>58</sup> *advienne ce que pourra* (franc.) – niech się dzieje, co chce. [przypis redakcyjny]

<sup>59</sup> *bałamucić* – uwodzić, kokietować. [przypis edytorski]

znam dobrze jej charakter i sposób myślenia...

Słuchał z zajęciem; czoło i brwi mu drgały.

– Znasz ją dobrze? Jesteś pewna tego, co mówisz?

– Najpewniejsza.

Zamyślił się, ręką powiódł po czole, źrenice mu zasłyły wyrazem dalekiego jakiegoś marzenia. Kiriłowej zdawało się, że westchnął.

– Ale ty, kuzynie, naprawdę zajęty jesteś Justyną! – zawołała.

– O ile jeszcze mogę być czymkolwiek albo kimkolwiek zajęty. Wyznam ci, że sam się dziwię... Ale niepodobne do przewidzenia są kaprysy serca czy tam wyobraźni...

– Więc ożeń się z nią! – nie dbając jakby o wszystko, co przed chwilą mówił, zaczęła znowu.

Ale przerwało jej otworzenie się drzwi od sieni i głos Rózi, który zawołał:

– Mamo, Staś wrócił i ma okropną chrypkę...

Kiriłowa, jak sprężyną podjęta, skoczyła i z pokoju wybiegła. Wraz z nią, naturalnie, podobna do myszki wysunęła się Bronia. Różyc sam jeden pozostawszy, z czołem na obie dłonie opuszczonym, słyszał z głębi domu tu dochodzące napomnienia przełkniętej matki i odpowiedzi malca wypowiedane głosem tak od ochrypnięcia ciekim, że podobne były do najpiskliwszych tonów jakiegoś zepsutego flecika. Trzask ognia, stuk siekiery, pluskanie wody, głosy kuchennych dziewczek dochodziły tu przez wąską sień z drugiej połowy domu. Na dworze pogoda stawała się cichsza i jaśniejsza.

Wiatr ustawał, chmury rozbiegały się szybko we wszystkie strony nieba; przez gęste, wysokie bzy przedarł się promień zachodzącego słońca i pozłocił kwitnące na oknie skromne fuksje i róże miesięczne. Czy ten wysoki i chudy człowiek w wytwornym ubraniu, z ufryzowanymi<sup>60</sup> włosami nad białym czołem i wiszącymi u piersi binoklami w złotej oprawie wsłuchiwał się w odgłosy tego małego domu i odgadywał z nich to życie, które w nim płynęło wiecznie tym samym, pracowitym i skromnym potokiem? Czy nasuwało mu ono porównania, uwagi, myśli tak dotąd nie znane, jak nie znanym dlań był cały rozległy rząd podobnych istnień? Wydawał się głęboko zamyślony w chwili, gdy Kirłowa do małej bawialni wracając w zakłopotaniu swym zapomniała nawet o zamknięciu za sobą drzwi sypialnego pokoju. Nie myślała już także wcale o przedmiocie przerwanej przed kilku minutami rozmowy.

– Syn mi zachorował – ze zmartwieniem rzekła – gardło ma słabe i w przeszłym roku dostał był tak silnego zapalenia, że doktora wzywać musiałam. Lękam się, aby znowu nie było to coś złego, i kazałam Rózi, aby lipowy kwiat przygotowała.

Trwoga i zgryzota<sup>61</sup> czyniły twarz jej daleko starszą, niż była przed kwadransiem. Różyc rękę do niej wyciągnął.

– Biedna ty moja kuzyneczko – rzekł – ile ty mieć musisz pracy, trosk i zmartwień z tym małym mająteczkiem, z dziećmi...

---

<sup>60</sup> *ufryzowany* (przestarz.) – ułożony w loki. [przypis edytorski]

<sup>61</sup> *zgryzota* – zmartwienie, smutek. [przypis edytorski]

Do głębi ujęta usiadła obok niego na kanapie, policzek oparła na dłoni i o wszystkim, co ją obchodziło, mówić zaczęła. Rada może była, że znalazła w krewnym współczującego jej powiernika. Opowiadała mu, jak przed laty dwunastu, we cztery lata po swoim wyjściu za mąż, spostrzegłszy, że w Olszynie wszystko szło bez żadnego ładu i dozoru i że wcale bliska groziła im ruina, wzięła się sama do gospodarstwa i interesów. Dla kobiety była to rzecz niezwykła, ale nie święci garnki lepia. Uczyła się u sąsiadów i sąsiadek, szczególnie u Korczyńskiego i Marty; z każdym rokiem przybywało jej energii i umiejętności, i jakoś to poszło i idzie, wcale dobrze nawet idzie, tylko z wychowaniem dzieci bieda.

– Pięcioro – mówiła – pomyśl tylko, kuzynie, na tym kawałku ziemi, który około tysiąca rubli dochodu przynosi... Trzebaż to wykarmić, ubrać i czegokolwiek nauczyć!

O edukacji córek już i nie marzyła. Sama je nauczyła, czego mogła, a zresztą niech dobrymi gospodyniami będą! Ale synów kształcić pragnęła i do szkół ich oddała marząc sobie, że jeden z nich gospodarzem na Olszynie zostanie, a drugi w świat z zawodem jakim pójdzie. Ale szkoły drogo kosztują. Czasem sobie włosy z głowy wydziera przemyśliwając, czym i jak za nich zapłaci. Dotąd znajdowała źródła i środki, ale nie jest pewna, czy tak do końca będzie. Lada niepowodzenia, lada klęska w gospodarstwie, a jej najdroższe nadzieje przepadną! Tymczasem robi, co może, i gdyby tylko Bolek większej ochoty do nauki nabrał, a Staś tak często nie chorował... Ot, jaka bieda! jeden

zdrów, ale nie bardzo zdolny, drugi zdolny i chętny, ale słabego zdrowia.

Wszystko to opowiadała z policzkiem na dłoni opartym i gęsto, gęsto w tej chwili drobnymi zmarszczkami okrytym czołem. Końce jej ładnych ust opuszczały się czasem w dół, rzucając na dolną część twarzy dwie głębokie bruzdy.

– Ile ty lat masz, kuzynko? – zapytał wpatrujący się w nią ciągle Różyc.

– Trzydzieści cztery – z niejakim zdziwieniem odpowiedziała.

– Czy wiesz o tym, że kobiety w twoim wieku i tak jak ty urodzone używają jeszcze życia na swoją rękę, błyszczą w świecie, łowią w locie różowe godziny wesołości i szczęścia?...

Niedbale skinęła ręką.

– Mniejsza o to! Inne ja rzeczy mam na głowie...

I dalej jeszcze opowiadały o swoich biedach i nadziejach, gdyby Różyc jej nie przerwał. Powoli, z przestankami, bo znużenie ogarniać go już zaczynało, mówić jej zaczął o zupełnej swej niezdadności do osobistego zarządzania Wołowszczyzną, o tym, że niepodobna mu w tych stronach osiedlać się stale, że pragnie i potrzebuje koniecznie kogoś do zarządzania majątkami tymi i chciałby, aby tym kimś był mąż jej, Bolesław Kirło. Układ ten – mówił – byłby korzystny dla stron obu. Wołowszczyzna pod zarządem życzliwego krewnego zaczęłaby prosperować<sup>62</sup> i większe dawać dochody; krewny zaś otrzymywałby za swą pracę wynagrodzenie, które by znakomicie podniosło dobrobyt jego

---

<sup>62</sup> *prosperować* – rozwijać się pomyślnie. [przypis edytorski]

rodziny: trzy tysiące rocznej pensji, tantiema<sup>63</sup> od zwiększających się dochodów i inne różne zyski, które teraz leni się przypominać sobie i wyliczać...

– Jeżeli nic przeciwko układowi temu nie masz, droga kuzynko, pomów o nim ze swoim mężem. Niech przygotowuje kontrakt, umowę czy tam coś podobnego i przywiezie mi do podpisania. Za parę miesięcy będzie mógł przyjąć rządy majątków od teraźniejszego rządcy, który stał się zupełnie już niemożliwy.

Kirłowa słuchała z uwagą, potem dość długo milczała i myślała. Widać było, że perspektywa przedstawiona jej przez krewnego uśmiechała się do niej prawie rajskim powabem. Odpocząć nieco po kilkunastoletniej ciężkiej pracy, gospodarstwo w Olszynie ulepszyć, synom i młodszym córkom staranne wychowanie zapewnić! Co za złote marzenie! Nic nad to na ziemi nie pragnęła. Ale po długim namyśle wyraz głębokiego smutku twarz jej pokrył. Głowę przecząco wstrząsnęła.

– Dziękuję ci – zaczęła z cicha – dziękuję, dziękuję, ale to być nie może... Ja... ja nigdy nie zgodzę się na to...

Widziała, że patrzył na nią ze zdziwieniem, więc ze spuszczonymi powiekami, tak prędko, jakby pilno jej było pozbyć się tego przedmiotu rozmowy, ale zarazem z częstym wahaniem się głosu mówiła:

– Byłoby to dla nas wielkim szczęściem i rozumiem dobrze, że

---

<sup>63</sup> *tantiema* – procentowy udział w zyskach. [przypis edytorski]

właśnie dlatego propozycję tę zrobiłeś... ale widzisz... dla ciebie nie wynikłoby z tego układu nic dobrego... Jest to ostatni już twój fundusz... trzeba, aby ktoś zajął się nim na dobre, a Bolesław... mój mąż... gdzie tam! ani myśleć o tym nie można!

Nagle pochwyciła jego ręce i podniosła ku niemu wzrok pełen trwogi i prośby.

– Tylko – zawołała – nie myśl o nim nic złego... proszę cię, nie myśl o nim nic złego! Ja wcale nie mówię, że jest on nieuczciwy czy coś podobnego. Wcale nie! Nic przecież złego nikomu nie zrobił, spytaj się wszystkich, a każdy ci powie, że nic złego nie zrobił i że to dobry człowiek, poczciwy...

– Więc dlaczego? – pytał Różyc.

– Dlaczego? Mój drogi kuzynie, każdy człowiek ma swoje wady, wiesz o tym dobrze. I on je ma... Nie są to nawet wady, tylko przyzwyczajenia... Pracować nie lubi, bez towarzystwa i rozrywek żyć nie może. Gdybyś wiedział wszystko: jak go wychowywali i jak pierwszą młodość swoją przeżył, sam byś przyznał, że są to tylko przyzwyczajenia... Ojciec jego, mając ten tylko folwarczek, trzymał się wiecznie pańskich klamek, od komina do komina jeździł i syna z sobą woził. W szkołach trzy klasy tylko skończył i zaraz za skończonego obywatela uchodzić zaczął. Potem, kiedy ożenił się ze mną i moim posażkiem długi opłacił, ja sama starałam się wyręczać go we wszystkim i kłopoty od niego usuwać... Tak już przywykł... ale z tymi przyzwyczajeniami jakżeby on mógł tak wielkiej pracy podołać? Podjąłby się może, ale wiem, że nic by dobrego z tego nie

wynikło... Nie chcę! Wolę już tak, jak jest! Proszę cię na wszystko, abyś jemu o tym projekcie nigdy nie wspominał i sam o nim nie myślał. Proszę...

Różyc wpatrywał się w nią niby w ciekawe zjawisko.

– Moja droga – zaczął – ty kochasz tego człowieka?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Jakże?... – zaczęła. – Poszłam za niego z miłości, nikt mnie nie zmuszał, owszem, rodzice sprzeciwiali się, familia odradzała i paru innym dla niego odmówiłam. Czy ty, kuzynie, wyobrażasz sobie, że my, tak jak wy tam, na waszym wielkim świecie, dwadzieścia razy w życiu kochać i przestawać kochać możemy?

– Dwieście razy! – poprawił.

Ale ona żartobliwej poprawki tej nie słysząc mówiła dalej:

– Nabiera się przecież przyjaźni i przywiązania dla człowieka, z którym choć czas jakiś przeżyło się szczęśliwie. Zresztą, dzieci! ... Mój kuzynie, jeżeli ożenisz się kiedy i zostaniesz ojcem, zrozumiesz, jaki to węzeł!

– Z tym wszystkim nie chcesz, abym twemu mężowi powierzył...

– Nie! – żywo zawołała – nie chcę, stanowczo nie chcę, bo on by nie podołał i wynikłaby z tego szkoda dla twoich majątków... wiem o tym!

Różyc wstał. Niejaka zdolność do sympatii i współczucia istnieć jeszcze musiała w tym apatycznym i chorym człowieku, bo wyraz, z jakim patrzył na krewną swą, był bardzo podobny do wyrazu uwielbienia.

– Cóż zrobić? – rzekł – kiedy tego żadną już miarą nie chcesz... ale musisz przynajmniej pozwolić...

Obie jej ręce w swoich trzymając i w twarz jej patrząc z widoczną nieśmiałością dokończył:

– Abym ponosił koszta wychowywania twoich synów, dopóki... dopóki oni nauk nie skończą albo ja reszty majątku nie stracę.

Przy ostatnich wyrazach próbował uśmiechnąć się żartobliwie, ale nerwowe drgania tak mu wstrząsały czołem, brwiami i ustami, że twarz jego przybrała wyraz bolesny, prawie tragiczny.

– Proszę – dokończył ciszej – proszę...

Stała chwilę ze spuszczoneymi oczami, płomiennie zarumieniona i milcząca. Może ze swymi także przyzwyczajeniami w tej chwili walczyła, dobrodziejstw od nikogo przyjmować nie chcąc. Dwie duże łzy wypłynęły spod jej spuszczonej powiek i na pięknie zarysowanych, przywiedłych policzkach przeciągnęły wilgotne bruzdy. Ale wnet potem podniosła na krewnego spojrzenie pełne głębokiej wdzięczności.

– Dziękuję – rzekła z cicha – i przyjmuję... od ciebie! Zresztą, dla dzieci... wszystko...

Pocałował obie jej ręce, a gdy wyprostował się, twarz jego wydawała się daleko spokojniejsza niż wprzódy, choć pociemniała jakoś i bardzo zmęczona.

– Zrobiłaś mi prawdziwą łaskę... Na ciemnej przestrzeni, którą ciągle widzę przed sobą, będę miał choć jeden punkt

jaśniejszy... O szczegółach dotyczących się tych kochanych chłopców pomówimy innym razem... Teraz muszę już jechać...

Spojrzał na zegarek.

– Już przeszło sześć godzin, jak z domu wyjechałem.

– Boże mój! – westchnęła Kirłowa – a więcej niż sześć godzin trudno ci obejść się bez...

– Bez czego? Nazwijże choć raz rzecz po imieniu! Po prostu, przez usta ci przejść to nie może, co?

Próbował znowu żartować, ale było coś rozpaczliwego w geście, jakim dłoń po czole przesunął, i wymówił:

– Trudno... niepodobna!

Ona z bólem na niego patrzyła.

– Wiesz co? – rzekła – jedyny dla ciebie ratunek byłby w ożenieniu się z kobietą rozsądną, szlachetną i którą byś kochał...

– Wracasz do swego...

– I ciągle powracać będę! – zwykłym sobie ruchem ściśniętą rękę o dłoń uderzając zawołała i z wesołym znowu spojrzeniem dodała: – *Ce que femme veut, Dieu le veut*<sup>64</sup>. Francuszczyzna moja pewno tak samo kulawa, jak u Justyny, ale przysłowie sprawdza się często. Zresztą, najlepiej po prostu mówić: gdzie diabeł nie może, tam babę pośle... Zobaczysz, że ja cię namówię...

Przy drzwiach jeszcze, ściskając mu rękę, mówiła:

– Jak tylko złapię swobodną godzinę, sama do ciebie przyjadę i znowu o tym pomówimy. I jeszcze coś na myśl mi przyszło.

---

<sup>64</sup> *Ce que femme veut, Dieu le veut* (fr.) – czego chce kobieta, tego chce i Bóg. [przypis redakcyjny]

Jeżeli chcesz dla Wołowszczyzny prawdziwie dobrego rządcy, zrób tę propozycję Korczyńskiemu. To, to ale. Doskonały gospodarz, jak wół pracowity i perła uczciwości, mówię ci, że perła... Spróbuj...

Niebale machnął ręką. Widać było, że śpieszył bardzo z odjazdem i że wszystko na świecie obchodzić go przestawało, ale Kirłowa zbiegła z ganku i przy stopniu karety zgrabnym ruchem uczepiwszy się jego ramienia, szepnęła mu jeszcze na ucho:

– Pomyśl nad tym, co mówiłam ci o Justynie. Kpij z cioci księżny i ze wszystkich światowych głupstw! Łajdactwo cię nie uszczęśliwiło, spróbuj poczciwego życia!...

Jakkolwiek zubożniały i znużony aż do bezsilności, zaśmiała się połową drgających ust.

– Oto co znaczy prawdziwie rzeczy po imieniu nazywać! Dobrze, przyjeźdź do Wołowszczyzny, o wszystkim pomówimy.

Zaledwie karetka wytoczyła się za bramę, Kirłowa do domu wpadła, w kuchni i izbie czeladnej kilka rozporządzeń wydała i do tego pokoju pobiegła, w którym znajdowali się jej synowie. Tu trafiła na gwarną scenę. Swawolny Boleś i niedomagający Staś zawzięcie bawili się z najmłodszą siostrą, strasząc ją niby tupaniem nóg i hukaniem nad samymi jej uszami; ale więcej niż kiedy rozczochrana i z tołubka swojego rozebrana Bronia знаła się dobrze na podobnych żartach i udając tylko, że się lęka, z zanoszącym się śmiechem w różne kąty pokoju uciekała. Naprawdę przełękły się tylko siedzące w kotuchach<sup>65</sup> kury,

---

<sup>65</sup> kotuch (gwar.) – zagroda na ptaki domowe, kojec. [przypis redakcyjny]

które przecież stanowisk swych nie opuszczając, z postawami pełnymi powagi, wniebogłosy gdakały. Uspokojona trochę o syna, boć nie mógł czuć się bardzo chory, skoro bawił się tak wesoło, Kiriłowa kupców do bawialnego pokoju wprowadziła i po krótkiej jeszcze z nimi sprzeczce prędko, z jakimś rozmachem pióra umowę napisała, zadatek pieniężny wzięła i chwilę jeszcze bardzo grzecznie o urodzaju i cenach zboża porozmawiawszy, na ganek wyszła.

Na dworze zimny wiatr przez dzień cały szalejący zupełnie ustał, powietrze było chłodne jeszcze, ale ciche i mniej ostre. Daleko, kędyś na krańcu zaniemeńskich pastwisk, słońce zachodziło pogodnie i jaskrawo, ulewą światła napełniając przezroczysty gaj olchowy, zza którego rzadkich pni widać było pstrą trzodę na przeciwległym wybrzeżu rzeki rozsypaną. Z wilgotnej łąki, która spływała ku szarzejącej w pobliżu wiosce, od wód stojących, których istnienie zdradzały jasnozielone ajery i ciemne kołpaki łoży, dochodziły przeciągłe i coraz bliższe ryczenia krów. Ścieżką, która środkiem łąki biegła od dworu do wsi, szła gromadka kobiet, które od plecيا warzywnych ogrodów powracały. Był to wijący się pośród zielonej przestrzeni sznur jaskrawych chustek kobiecych, pąsowych<sup>66</sup> czapek dziecinnych i szybko migocących bosych stóp. Sposób, w jaki ta ścieżka wydeptaną była, opowiadał o częstych i licznych stosunkach zachodzących pomiędzy tym niewielkim dworem i tym niedługim szeregiem chat. Teraz także

---

<sup>66</sup> pąsowy – czerwony. [przypis edytorski]

z gromadką powracających do wsi kobiet i dzieci rozminęło się kilku chłopów do dworu dążących. Kirłowa na ganku stojąc z daleka ich spostrzegła. Wiedziała, z czym przychodzą, ale w tej chwili nie mogła cierpliwie czekać nadejścia gospodarzy, którzy po trochu byli jej współnikami, bo obrabiali w Olszynce część gruntów, najbardziej od dworu oddaloną, po połowie dzieląc się zbiorami z ich właścicielką. Po prostu, trudno jej było w tej chwili stać na miejscu. Niespokojna czuła się widocznie; ze zmarszczonym czołem i wyteżonym wzrokiem patrzyła w stronę warzywnych ogrodów. Roboty dzienne były już tam ukończone: dlaczegoż więc córka jej nie wracała? Dlaczego ten ładny i taki żywy chłopak tak często tu przebywał, ani na krok dziewczynki tej nie opuszczając? I ojcu jego może się nie podobać, że co dzień prawie dla Olszynki Korczyn opuszcza. I Marynia... taka młodziutka i tak głębokie, niewymowne szczęście tryska z jej twarzy, gdy spostrzeże czarnego Marsa, który w szerokich poskokach na dziedziniec wpada, pana swego poprzedzając.

– Co ja z tym fantem pocznę? – z widoczną troską szepnęła do siebie kobieta. – Wypowiedzieć mu dom albo niegrzecznie przyjmować go... niepodobna! Bo i za cóż? Pocciwy chłopak i syn najpocciwszego sąsiada! Znają się z sobą od dzieciństwa, więc może to taka przyjaźń... ale dlaczegoż już nie przychodzą!

Zbiegła z ganku, prędko przeszła dziedziniec i niedaleko małego spichrza za kilku bżowymi krzakami stanęła. Zobaczyła córkę swą siedzącą na niskim progu małej budowy, do której wnętrza parę godzin temu przed padającym deszczem

uprowadzała chłopskie dzieci.

Z warkoczem lnianych włosów opadającym na wąski tołubek szesnastoletnia dziewczyna różowy swój policzek na dłoni wspierała i błękitne oczy wznosiła w górę ku twarzy stojącego przed nią towarzysza. W myśliwskim ubraniu swym, wysmukły i zgrabny, z lufą fuzji zza ramienia mu sterczącą, Witold Korczyński rozprawiał o czymś z ożywieniem wielkim i częstymi, żywymi gestami. Nadawało mu to z daleka pozór niepospolitej żywości i wybuchliwości, jakkolwiek w zmęczonej trochę cerze jego twarzy znać było długą już i wyteżoną pracę książkową. Znać było w tym młodzieńcu dziecię chwili pełnej udręczeń serc i niepokoju umysłów. Nie rozrósł się on na kształt dębu szeroko i potężnie w ciszy i dostatkach rodzicielskiego domu, ale na ławach szkolnych we wczesnych trudach pamięci i myśli wybijał jak młoda topól<sup>67</sup>, giętka i poddająca się ruchom otaczającego ją powietrza. Czoło miał dziewicze: białe i gładkie, oczy myśliciela, a zarys ust zdradzający nadmierną wrażliwość i czułość. W ruchach jego głowy była zbyteczna nieco śmiałość i duma; można by czasem rzec, że tuż, tuż, za parę dni lub godzin, wybierze się w podróż naokoło świata albo i na podbój całego świata. Znajdując się tu już od paru godzin, wiele zapewne z towarzyszką swą mówić musiał, przyniósł dla niej książkę, która teraz leżała na jej kolanach; jednak ani ochoty do mówienia nie stracił, ani ona przestała go słuchać z ciekawością w ożywionych rysach i wzniesionych

---

<sup>67</sup> topól – topola. [przypis edytorski]

ku niemu oczach. Zaniepokojone serce matki na widok tej młodej pary uspokoić się mogło. On miał pozór nauczyciela, ona uczennicy; wyglądali jeszcze na parę dobrych przyjaciół zgadzających się z sobą we wszystkim i razem układających jakieś plany. Dziewczynka czyniła głową potakujące ruchy oznaczające zrozumienie albo wysoki stopień zapału, co zdawało się uszczęśliwiać i do dalszego mówienia zachęcać młodzieńca. Z oddalenia, w jakim się znajdowała, Kirłowa słyszała tylko oderwane wyrazy: lud, kraj, gmina, inteligencja, inicjatywa, oświata, dobrobyt itd. Parę razy tylko do uszu jej doszły całe okresy żywcem jakby z mądrej jakiejś książki wyjęte, a prawiące coś o pracach podstawowych i minimalnych<sup>68</sup>, o poprawieniu historycznych błędów itd. Uśmiechnęła się prawdziwie po macierzyńsku, trochę żartobliwie, a trochę dumnie.

– Dobrze – rzekła – kiedy tak, to dobrze! Niech sobie gwarzą o takich pięknych rzeczach!

I miała już odejść ku gankowi, ale jeszcze młoda para wzrok jej do siebie przykuła. Marynia z wolna podniosła się ze swego niskiego siedzenia i z powolnością ruchów zdradzającą głębokie zamyślenie wsunęła rękę swą pod ramię towarzysza. Powoli przeszli ogród warzywny i wzdłuż olchowego

---

<sup>68</sup> *prace podstawowe i minimalne...* – Witold, jako przedstawiciel młodego pokolenia pozytywistów, zapoznaje Marynię z głównymi założeniami nowego prądu, zalecającego ograniczenie się do „małego” programu reform, zwanego inaczej programem pracy od podstaw i pracy organicznej. Sprowadzał się on przede wszystkim do haseł gospodarczego rozwoju kraju i podniesienia oświaty wśród ludu w ramach ustroju kapitalistycznego. [przypis redakcyjny]

gaju kierowali się ku ścieżce do wsi wiodącej. Nieraz już Kiriłowa widziała ich idących w tamtą stronę. Zdawało się, że machinalnie i bezwiednie prawie ciągnęła ich tam wewnętrzna jakaś siła uczucia i myśli. Teraz postacie ich i profile, blisko ku sobie przysunięte, plastycznie odbijały od zielonego tła gaju, po którym przesuwały się powoli. On więcej niż kiedy miał pozór apostoła idee swe wygłaszającego i myśliciela z chmurnymi trochę oczami pod dziecinnym czołem, ona szła z pochyloną nieco głową, z opuszczonymi w dół powiekami i tym zachwyconym uśmiechem na różowych ustach, który towarzyszy budzeniu się młodej myśli i woli. Za nimi szedł poważnie wielki, czarny wyżeł, a przed nimi zachodzące słońce kładło na drogę szerokie szlaki różowych, ruchomych świateł.

## II

Paru godzin do południa brakowało, gdy Justyna z olśniewającej ulewy słonecznego światła wchodziła do przyciemnionej nieco sieni korczyńskiego domu. W rękach, więcej niż kiedy ogorzałych, trzymała wielką więź polnych roślin, która w połączeniu z jasną barwą jej sukni i ognistymi rumieńcami policzków czyniła z niej upostaciowanie rozkwitłego lata. Na wschody ganku wbiegła żywo, ale potem stanęła i długo popatrzała kędyś daleko za bramę dworu, na pole. Zamyślenie to przecież smutnym być nie musiało, bo znowu zwracając się ku domowi, prawie głośno zanuciła:

Lecą liście z drzew, co wyrosły wolne,  
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę<sup>69</sup>...

Ale zaledwie weszła do sieni, przerwała nucenie i przyspieszyła kroku, bo w sali jadalnej słysząc było ożywioną rozmowę i nawet jakby sprzeczkę paru głosów. W głębi sali, plecami o bufetową szafę oparta, wielka i trochę przygarbiona, stała Marta, a przed nią młody chłopak i niedorośla panienka mówili jej o czymś oboje razem, o coś na nią nalegali,

---

<sup>69</sup> *Lecą liście z drzew* (...) – początek pieśni Wincentego Pola (1807–1872) ze zbioru *Pieśni Janusza*, zatytułowanej *Śpiew z mogiły*. (W oryginale początek brzmi: „Leci liście z drzewa”) Według niezupełnie pewnych danych muzykę do słów tej pieśni ułożył Fryderyk Chopin. [przypis redakcyjny]

prosili. Chłopak miał na sobie krótkie i dość zaniedbane ranne ubranie, panienka zaś, wątła i z żółtawą cerą, cała w muślinach, wstążkach, lokach, przypominała bladego, ale ładnego motyla. Oboje bardzo prędko mówili.

– Moja ciociu, czyż ciocia dla nas tego nie zrobi? Kiedy my tak prosimy, tak lękamy się o zdrowie cioci... Doktor powiedział, że cioci koniecznie leczyć się trzeba... że w tym kaszlu jest coś złego... Niech ciocia pozwoli, aby doktor tu przyszedł... my go przyprowadzimy... Czyż ciocia dla nas tego nie zrobi?...

Cieniutkimi ramionami panienka usiłowała objąć kościstą kibić starej panny, a utrefioną swą główkę wysoko podnosiła, aby móc patrzeć w jej twarz, po której przepływały fale uczuć najsprzeczniejszych: gniewu i rozrzewnienia. Gniew przemógł.

– A dajcież mi święty pokój! – rozległ się po sali głos basowy i ochrypy. – Oto mnie napadli! Wieczna niedola! Doktor wasz głupi... co on tam takiego w moim kaszlu usłyszał? Niech Emilkę i Terenię leczy, bo one chore, a ja zdrowa, zdrowiuteńka, mury łamać mogę i żadnych doktorów nie potrzebuję. Jeszcze czego! Wieczne głupstwo! Uf!...

Miała zakaszlać się, tak jak bywało zwykle, ilekroć mówiła ze wzburzeniem, ale wstrzymała się i tylko krztusiła się głośno. Wtem spostrzegła wchodzącą Justynę i rzuciła się ku niej jak ku zbawieniu.

– Spacerujesz sobie, kochanko, spacerujesz, nie wiesz gdzie przepadasz i nic nie wiesz, co się w domu dzieje. Wieczna bieda! Emilka zachorowała na nerwy, na piersi, na serce, na

wszystko... doktora sprowadzili... Benedykt tak zląkł się i tak prędko wieść go kazał, że konie, powiadam ci, całe w pianie przed gankiem stanęły. Pół godziny temu przyjechał i powiedział, jak zawsze, że to nic strasznego... Wielkie rozdrażnienie nerwów i troszkę kataru, bronchitów<sup>70</sup>, jak zawsze, powietrze jej zalecił, ruch, rozrywki, dwie recepty zapisał... Ale ja tam do jej pokoju weszłam z kawą i przekąską dla doktora i trzebaż nieszczęścia, zakaszlałam... troszkę tylko, mówię ci, że troszkę... A on popatrzył na mnie i powiada, że to zły kaszel, że mnie leczyć się trzeba... Ja w nogi, a dzieci za mną! „Lecz się, ciotko, i lecz się, pogadaj z doktorem i pogadaj!” A żeby on choć przez trzy dni ust nie otwierał, daj Boże! Chora... chora... wieczne głupstwo! Już jeżeli ja chora, to któż zdrowy? Powiadam ci, że w tej ścianie pięścią dziurę zrobię, jeżeli zechcę!

Kiedy Marta prędko, z rozmachiwaniem ramion i trzęsieniem głowy, nad którą sterczał wysoki grzebień, wszystko to mówiła, Witold i Leonia prędko także i z ożywionymi gestami cicho porozumieli się ze sobą; z sali wybiegli. Justyna powolnym ruchem wzięła rękę Marty, cicho ją pocałowała i długo w oczy jej patrzyła.

– Ja to wszystko rozumiem, ciotko – wymówiła z cicha.

– Już?... rozumiesz? – z trochę zjadliwym śmiechem zadziwiła się Marta, ale wnet spostrzegłszy, że coś niepotrzebnego powiedziała, wybuchnęła: – Cóż ty rozumiesz? Tu najmniejszej rzeczy do rozumienia nie ma! Zdrowa jestem

---

<sup>70</sup> *bronchit* – ostre zapalenie oskrzeli. [przypis edytorski]

zupełnie i wcale nie potrzebuję, aby mi jak indycze gałki do gardła rzucali... A ty zaraz w melancholię wpadasz... „Rozumiem!” Nic nie rozumiesz... Wieczne...

Umilkła, bo wzrok jej upadł na snop roślin, które przyniosła Justyna i na stole położyła.

– A toż skąd? – wskazując bukiet bardzo do różnobarwnej miotły podobny zawołała.

– Niech ciotka zgadnie – uśmiechnęła się Justyna.

Czy zgadywała? Wąskie jej wargi zacisnęły się i pośród zmarszczek prawie zniknęły; górną połowę swej ciężkiej postaci naprzód podała, a rozplomienione przed chwilą oczy jej przygasły i w więź roślin wpatrzyły się tak, jakby ktoś wpatrywał się w nagle przed nim powstałe widmo czegoś, co niegdyś było żyjącym, znanym, może drogim.

– Justyna!

Na dnie stłumionego jej głosu czuć było jakieś wewnętrzne warczenie.

– Co, ciotko?

– Gdzie ty byłaś?

Młoda panna spokojnie odpowiedziała:

– W Bohatyrowiczach.

– A któż ci dał... to...?

Ciemnym, pomarszczonym palcem wskazywała bukiet, jeszcze odeń wzroku nie odrywając. Tym razem Justyna głowę nad więzią roślin pochyliła.

– Jan Bohatyrowicz – ciszej odpowiedziała.

Jakby ją to nazwisko w pierś uderzyło, Marta wyprostowała się i ze szczególnym połączeniem śmiechu i tego samego, co wprzód, wewnętrznego warczenia wybuchnęła:

– Cha, cha, cha! No, to już u nich familijne! Wiecznie bukiety wiążą, a co który zwiąże, to miotła. Czysta miotła! Widywałam ja kiedyś takie bukiety często, a ten do tamtych podobny jak dwie krople wody! Ależ pachnie, aż się po całej sali rozeszło! Znałam ja kiedyś i te zapachy... Uf... nie mogę...

I nie mogła już wstrzymać się, zakaszła; pomarszczone jej czoło nabiegło krwistym rumieńcem. Z tym rumieńcem na czole i krztusząc się jeszcze wymówiła znowu:

– Justyna!

– Co, ciotko?

Stała teraz przed młodą panną prosta i ciężka, podobna do słupa umieszczonego na wielkich, w kwieciste pantofle obutych stopach, i wprost jej w twarz ostro patrzyła. Po chwili wskazujący palec do wysokości swej twarzy podniosła i poruszyła nim w powietrzu prawie groźnie.

– Cóż ty sobie myślisz, panienko?... – z cicha zaczęła. – Może ty myślisz, że jednym ludziom Pan Bóg daje serca, a drugim kamienie?... Pewno tak myślisz, ha? U ciebie serce, bo ty panienka, a u niego kamień, bo to chłop! Ha? Pobaw się z kamuszkim, pobaw się, co to szkodzi? Z nudy, z melancholii! Na pociechę po pańskich karmelkach chłopskie miotły, tymczasem, póki Pan Bóg znowu jakiego panicza nie ześle, ha?

W sposób ten mówiłaby może więcej, ale do sali wbiegł lekki, strojny, głośno śmiejący się podłotek i z radosnym błyskaniem oczu przylgnął cały do niej, jak blade motyl do ciemnego słupa.

– Otóż i postawimy na swoim! Otóż ciocia będzie musiała z doktorem porozmawiać! Już go Widzio tu prowadzi!

W salonie słyszeć się dały kroki dwu mężczyzn, z pokoju pani Emilii ku sali jadalnej zmierzające. Marta, jak wybuchającą miną podrzucona, porwała się z miejsca i kilku susami salę przesadziwszy wpadła we drzwi do dalszych pokojów wiodące. Za nią biegła Leonia, a potem i Witold, który doktora w salonie pozostawiwszy próbował jeszcze ciotkę dogonić i do zamiaru swego namówić. Ale Marta, pochylona, piętami suknię wysoko za sobą podrzucając, z głośnym tętentem stóp przebiegła parę pokojów, w których parę krzeseł na drodze jej stojących przewróciła, aż wpadła na dość długi korytarz, u którego końca znajdowała się spiżarnia. Biegając już wydobyła z kieszeni wielki klucz, który dopadłszy drzwi spiżarni drżącą z pośpiechu ręką w zamku obracać zaczęła. Oddychała przy tym głośno i coś po cichu mruczała. Ale tu dopędziła ją Leonia i, zdyszana także, za suknię ją pochwyciła.

– Ciociu! – zabrzmiał na cały korytarz cienki i prawie płaczący głos podłotka. – Ja cioci śliczne pantofle wyszyję! Ja ciocię co dzień tak wycałuję... tylko proszę...

Marta odwróciła się i wąż dziewczynkę nad ziemię uniósłszy, namiętnymi pocałunkami jej włosy, oczy i usta okryła. Zarazem do wnętrza spiżarni ją wciągnęła, prawie

wniosła, za sobą i za nią drzwi z trzaskiem na klucz zamykając. Dopadł do nich teraz i Witold.

– Ciotko! – zawołał. – Proszę iść do doktora!...

Pod ściągniętymi brwiami oczy gniewnie mu już błyskać zaczynały. Ale we wnętrzu spiżarni słychać było wiele naraz odgłosów: śmiech, całusy, brząkanie szklanych naczyń. Widocznie w forticy tej bawiono się wybornie. Z czołem do drzwi przyciśniętym Witold zawołał:

– Czy ciocia nie zrobi tego, o co proszę?

Za drzwiami głos gruby, ale w tej chwili miękki i pokorny, mówić zaczął:

– Kotku ty mój, robaczku złoty, miły! Nie trzeba, jak Boga kocham, mnie nic nie trzeba! Czyż ja mogę komu ambaras jaki robić i sobą ludziom głowy kłopotać?... Nie gniewaj się na mnie, mój mileńki! Może chcesz co przekąsić?... Serek mam doskonały i świeże powidła. Chcesz? Ha? Chodź do nas!

– Niechże ciocia otworzy!

Po chwili wszyscy troje znajdowali się w spiżarni. Ileż chwil, odkąd tylko pamięcią sięgnąć mogli, przepędzili oni w tym miejscu z tą wielką, gderliwą i często szyderską kobietą, która ich tu całowała, na rękę swym nosiła, przysmakami najrozmaitszymi karmiła, czasem tak pała, że aż potem chorowali, a ona doglądała ich znowu, leczyła, drząc o nich tak, że aż gorączkowe rumieńce żółte policzki jej paliły, a do snu i dla rozrywki śpiewając im grubym swym głosem te stare pieśni, które z dala od dworu unosiły się nad polami.

Wcale co innego działo się w sypialni pani Emilii. Błękitny ten pokój błękitna lampa u sufitu zwisająca co nocy napełniała światłem do księżycowego bardzo podobnym. Oprócz tej lampy do późna zwykle paliła się tam jeszcze jedna, tuż przy łóżku pani Emilii umieszczona i czytającej Teresie przyświecająca. Codziennie do późna Teresa czytywała głośno powieści, pamiętniki, podróże w trzech językach pisane, bo ta mizerna, podstarzała panna, z twarzą przypominającą uwiedłą różę i chorobliwie erotycznym wyrazem ust i oczu, wcale dobrze знаła trzy obce języki. Tej nocy książką, którą czytały, była podróż po Egipcie. Tyle naczytały się razem o wszystkich krajach Europy, że od jakiegoś czasu powędrowały już dalej, do innych części świata. Egipt podobał się pani Emilii do tego stopnia, że obudził w niej uczucie niewysłowionej tęsknoty. Wszystko, co o nim czytała, było tak nowe, uderzające wyobraźnię, ponętne. Czemuż nie urodziła się w Egipcie? Byłaby tam najpewniej szczęśliwsza! Zarzuciła nad głową szczupłe ramiona, wzdychała, oczy jej zdawały się rozszerzać, powiększać. Przerwała na chwilę czytanie.

– Jak myślisz, Tereniu? Ja bym tam pewno mogła wiele chodzić, ruszać się, żyć, kochać?

– O, tak! – odpowiedziała Teresa. – Jakże tam ludzie wśród takiej natury i takich widoków gorąco kochać muszą!

I jej blade źrenice w daleki punkt utkwione napełniły się także marzeniem. Staął przed nimi wysmukły fellach<sup>71</sup> z oliwkową

---

<sup>71</sup> *fellach* – chłop egipski; od arabskiego *falah*: orać. Nazwa stosowana do osiadłej

cerą, ognistym wzrokiem i mówił takie rzeczy, które usłyszeć ona pragnęła zawsze i których nigdy nie słyszała. Na świecie już świt błękitny zamieniał się w dzień biały, kiedy Teresa długo i gorąco ucałowawszy panią Emilię odeszła do sąsiedniego pokoiku, w którym sypiała. Ale zaledwie długim czuwaniem zmęczona połknęła parę codziennych pigułek i ułożyła się do snu, zaledwie przed usypiającym jej wzrokiem zjawił się i przemówił do niej ów oliwkowy fellach, zbudziło ją i z łóżka zerwało wołanie pani Emilii. Było ono tak żalosne, że prawie bosa, w narzuconym naprędce szlafroku, wbiegła do sypialni, którą jeszcze księżycowym blaskiem oświecała błękitna lampa. W tym łagodnym blasku pani Emilia wiała się na pościeli w męczarniach silnego ataku nerwów. Dusila się, śmiała się i razem płakała, obu dłońmi przyciskała serce, które biło tak, że o parę kroków uderzenia jego słyszeć było można. Oprócz tego wszystkiego kaszlała jeszcze i czuła klucie w piersi. Może to nie był tylko atak nerwowy, ale także skutki przeziębienia i zgryzoty. Przed dwoma bowiem dniami Witold uprosił ją, aby przeszła się z nim po ogrodzie. Wahala się długo, ale usilnym prośbom syna oprzeć się nie mogąc, poszła. W czasie przechadzki użalała się przed nim na swoje smutne życie i zapewniała, że już długo chodzi i że rosa padać zaczyna. Przy tym syn nie okazał jej dość współczucia, na skargi jej odpowiadał milczeniem, i to ją zgryzło, bo raz jeszcze dowiodło, że nikt, nawet własne dziecko, ani zrozumieć, ani kochać

jej nie umie. A potem znowu ten Egipt!... Słowem, dawno już nie cierpiała tak silnie jak teraz. Teresa utraciła zrazu przytomność; od toalety do szafy biegając rozbiła flakon z perfumą i flaszkę z lekarstwem, ale co pewna, to że zupełnie zapomniała o sobie i ze współczuciem gorącym, z gorliwością nieopisaną poiła i karmiła chorą różnymi zaradczymi środkami, grzała dla niej wodę, ocierała ją, pocieszała. Z przyzwyczajenia już tylko fruwała drobnym i lekkim kroczeniem, ale zrobienie jakiegokolwiek toalety ani nawet obawa przed rannym chłodem na myśl jej nie przyszły, kiedy o wczesnej rannej godzinie biegła budzić Martę i Benedykta. Oboje już nie spali. Marta doglądała froterowania posadzek dokonywanego przez kredensowego chłopca, polewała wazonu u okien i jednocześnie przyrządzała herbatę dla Benedykta, którego osiodłany wierzchowiec stał już pod gankiem. Była to pora żniw, której część znaczną właściciel Korczyna spędzał zazwyczaj na koniu. Kiedy Teresa, w luźnym i mocno przybrudzonym szlafroku, z trochę własnych włosów rozczochranych nad pomarszczonym czołem, wbiegła do sali jadalnej, na żółtoróżowej jej twarzy malowało się tyle przerażenia i żalu, że Marta i Benedykt domyślili się wszystkiego. I rzecz szczególna! Pomimo że wypadki podobne dość często powtarzały się w jego domu, pomimo że od lat kilku nic już na pozór nie łączyło go z żoną, Benedykt dowiedziawszy się, o co idzie, kilku skokami znalazł się na ganku, a gdy wydawał rozkazy dotyczące się zaprzęgnięcia koni i przywiezienia lekarza z bliskiego miasteczka, wielkie ręce jego trochę drżały. Wnet

potem pobiegł do pokojów żony i wkrótce z nich wybiegł, obu dłońmi głowy swej dotykając. Do Marty, która śpieszyła na górę po zażądane przez chorą ziółka, w przechodzie<sup>72</sup> zagadał:

– Nieszczęście z tymi babami! Biedna kobieta! Męczy się okropnie! A ta znów druga klęczy przy łóżku i fontanną płacze! O nic u żadnej dopytać się nie można!

Z ganku potężnym swym głosem krzyczał na służbę o jak najprędsze zaprzęgnięcie koni i leczenie błyskawicą po lekarza i z lekarzem.

Okolo południa jednak pani Emilia uspokoila się znacznie i była już tylko tak osłabiona, że aby usłyszeć, co mówiła, trzeba było ucho do ust jej przykładac. W białych muślinach i haftach leżała na pościeli z zamkniętymi oczami, z wyrazem tak cichego i łagodnego cierpienia na twarzy, że w każdym na nią patrzącym istotną litość budzić musiała. Toteż Teresa, tuż przy jej łóżku siedząca, wpatrywała się w nią wzrokiem żalonym, a Leonia, która cichutko wsunęła się tu po odjeździe doktora, smutnie z robótką w rękę w kąciku siedziała. Wtem do cichego pokoju doleciał turkot zajeżdżającego przed dom powozu, drzwi uchyliły się i dał się słyszeć szept Marty:

– Pan Darzecki przyjechał z młodszymi panienkami, Benedykt prosi, aby Leonia przyszła panienki bawić...

Marta mówiła, jak tylko mogła najciszej, jednak świszczący szept jej doszedł do uszu chorej, która otworzyła oczy, niespokojnie palcami poruszyła i wymówiła:

---

<sup>72</sup> w *przechodzie* – przechodząc. [przypis edytorski]

– Darzeckie... Jak Leonia ubrana?

– Chodź do mamy! – pośpieszenie zaszeptała Teresa.

Panienka na palcach do łóżka matki przybiegła; pani Emilia ogarnęła ją wzrokiem, który, przed chwilą omdlały i zagasty, teraz nabrał trochę bystrości i blasku.

– Suknia dobra – zaszeptała chora – ale kokarda zmięta i buciki brzydkie.

Oczami dała znać córce, aby pochyliła się nad nią, i w czoło ją pocałowała.

– Nie trzeba, aby moja córka była gorzej ubrana od Darzeckich... które stroją się...

W tej chwili na pochylonej ku niej głowie córki spostrzegła coś takiego, co ją tak przeraziło czy podnieciło, że dość prędkim ruchem podniosła się i na łóżku usiadła.

– Loki rozfryzowane! – jęknęła.

A potem spiesznie do Teresy mówiła:

– Moja Tereniu, niech Zofia co najprędzej przypnie Leoni świeżą kokardę i włoży jej na nogi warszawskie pantofelki... Ale z włosami? Co tu robić z włosami?

– Zwiążę je wstążką! – zaproponował podłotek.

– Cóż robić? Zwiąż wstążką! – odpowiedziała matka. – Tylko – dodała – żeby wstążka tego samego koloru była co kokarda.

Kiedy Leonia odbiegła, z dala i już głośno panny służącej przywołując, chora ruchem zmęczenia i nadzwyczajnej słabości osunęła się znowu na pościel i ledwie dosłyszalnym głosem poprosiła:

– Moja Tereniu, pilnij tylko, aby nikt tu nie przychodził, nikt a nikt... Nie mogę teraz znieść najmniejszej fatygi. Poczytaj trochę o Egipcie... tylko niegłośno czytaj...

W błękitnej sypialni Teresa stłumionym głosem czytała francuskie podróże po Egipcie, chora czytania tego słuchała w bezwładnej nieruchomości, po salonie zaś przechadzało się dwóch mężczyzn, których wysokie postacie rozmijały się wciąż z przechadzającymi się także trzema niedorosłymi panienkami. Darzeckie i córka Korczyńskich trzymając się pod ręce chodziły wyprostowane i mierzonymi krokami, ale nad ich sztywnymi postaciami, rogi gorsetów zdradzającymi, małe, utrefione głowy bardzo ruchliwie zwracały się ku sobie w bardzo ożywionej pogadance. W rogu salonu z otwartą książką w ręku siedział Witold, ale nie czytał, tylko bystrym, uważnym i coraz chmurniejszym wzrokiem wpatrywał się w ojca i z kolei w siostrę. Widać też było, że przysłuchiwał się pilnie rozmowom przez obie te osoby prowadzonym. Istotnie, zaciekawiająca była zmiana, która zaszła w ruchach, fizjonomii i sposobie mówienia Korczyńskiego. Mogło się zdawać, że zmalął trochę i wyszczupłał, tak nisko głowę pochylał i porywcze swe i rozmachliwe zazwyczaj gesty powściągał. Sposób, w jaki do szwagra swego przemawiał, powściągliwy był także, jakby staranny, a wyraz oczu i ust zdradzał wyraźną chęć przymilenia się i przypodobania. Tylko może właśnie ten umizg i ta staranność o stanie się przyjemnym gościowi pogłębiły grube fałdy jego czoła i policzków, a długie wąsy opuściły aż

na klapy płóciennego surduta, w którym przed chwilą zamierzał udać się w pole. Doskonałe przeciwieństwo z panem domu przedstawiał gość. Wysoki, cienki, tak sztywny, że można by go wziąć za chodzący posąg, wytwornie ubrany, chodził on po salonie krokiem mierzonym, trochę drobniejszym, niż by z natury wypadało, z lekkim poskrzypywaniem błyszczącego obuwia. Ręce trzymał w kieszeniach, a blada, wąska, delikatna i krótkim, siwiejącym zarostem otoczona twarz jego okryta była wyrazem głęboko uczuwalnej i wielostronnej wyższości majątkowej, rodowej, cywilizacyjnej. Mową płynną i monotonna wyrażał on Korczyńskiemu głębokie swe ubolewanie nad tym, że niepokoić go musi upomnieniem się o dług swój, czyli o niewypłacony mu dotąd posąg żony. Korczyński przy pierwszych zaraz słowach jego tej sprawy tyczących się drgnął, jak gdyby mu kto ostrze jakieś za skórę zapuścił, nagle i dziwnie lekko do bocznego stolika poskoczył i z uśmiechem prawie zalotnym wzięte stamtąd cygaro szwagrowi podał:

– Dziękuję, przed obiadem nie palę nigdy – rąk z kieszeni nie wyjmując i przechadzki swej nie przerywając odmówił Darzecki.

Benedykt z wyrazem prośby popatrzył mu w oczy.

– A może?... Wcale dobre... Przywiozłem takich parę pudełek z miasta na wypadek takich gości, jak kochany szwagier... tylko takich gości!

– Dziękuję, nie – powtórzył gość z ledwie spostrzegalnym i pierwszym, odkąd tu przybył, poruszeniem głowy, a zaraz

potem mówił dalej: – Właściwie, te kilkanaście tysięcy rubli są bagatelką, o której i mowy pomiędzy nami być nie powinno... Pojmuję dobrze solidarność obywatelską, będącą niejako fundamentem społecznej budowy. Powinniśmy podtrzymywać się wzajem, chociażby z ujmą własną... tak, cho-ciaż-by z ujmą. Człowiek cywilizowany nie może doświadczyć większej przykrości, jak kiedy mu przychodzi pogwałcić w najmniejszej rzeczy te węzły, te sympatie, te najlepsze chęci, które uczuwa dla swoich bliskich, tak, dla swo-ich blis-kich...

– Procenty płacę regularnie – nieśmiało i cicho przerwał Benedykt.

Mała, siwiejąca głowa, na sztywnym karku osadzona, uczyniła drugie z rzędu, zaledwie dostrzegalne poruszenie, tym razem twierdzące.

– Regularnie, tak, re-gu-lar-nie. Jesteś, kochany szwagrze, człowiekiem honoru i serca i za prawdziwe szczęście uważam sobie, że ci to przyznać mogę...

– Więc może i nadal... – szepnął Benedykt.

Błyszczące obuwie gościa głośniejszą trochę skrzypnęło i była to jedyna oznaka, że czuł się cokolwiek zakłopotany.

– Niepodobna, kochany panie Benedykcie... Gdyby człowiek mógł zawsze być panem okoliczności, bezwarunkowo miałbym sobie za punkt obywatelskiego honoru, tak, ho-no-ru, a także za miłą powinność pokrewieńską i przyjacielską, uczynić ci i nadal, jak dotąd czyniłem, folgę, ustępstwo, ułatwienie w twoich interesach... tak jak dotąd czyniłem...

– Za co ci, kochany szwagrze, najpokorniej wdzięczny jestem  
– przerwał znowu Benedykt, a głos jego był istotnie bardzo  
pokorny. – Dobroć i względność twoja... – ciągnął – ośmiela  
mnie...

Wtem jak jasne motyle pomiędzy nagie ciernie w rozmowę  
tę wpadły trzy panienki. Trzymając się pod ręce, drogę dwom  
rozmawiającym mężom zabiegły i na paluszkach wstecz przed  
nimi idąc, chórem srebrzystych głosików zaczęły:

– Papciu, kuzynki mówią, że salon nasz jest bardzo pusty i  
wcale nieładnie wygląda... I ja jestem tego samego zdania...

– Wujaszek mógłby już, doprawdy, nowe meble sprowadzić  
i lepsze dywany sprawić... – jednogłośnie przywodziły dwie  
niedorośle córki Darzeckiego.

– U nas na pensji nawet salon daleko jest piękniejszy, a ja bym  
tak chciała, aby nasz był choć taki, jak tamten...

– Pomiędzy oknami powinny być lustra i konsole<sup>73</sup>... –  
zadecydowały kuzynki.

– Papciu, mój papciu, proszę sprowadzić lustra i konsole,  
bo doprawdy, mnie aż wstyd, że u nas takie nagie ściany... –  
żalostnie i prawie ze łzami ojcu w oczy patrząc wołała Leonia.

Benedykt z rodzajem osłupienia na te trzy śliczne istotki  
patrzył, aż krzyknął prawie:

– No, nie przeszkadzajcie nam rozmawiać! Lalkami wam  
jeszcze bawić się, a nie salony urządzać...

---

<sup>73</sup> *konsola* – stolik pod lustrem, zwykle przytwierdzony do ściany. [przypis redakcyjny]

Panienki trochę rozśmieszona, a trochę zagniewana, frunęły ku tej stronie salonu, w której siedział Witold. Pierwszy raz, z siedzenia swego nie powstając, wmieszał się on do ich rozmowy.

– Może byś ty, Leoniu, mozaikowej posadzki i fresków na suficie chciała...

Gniewnej ironii, z jaką to wymówił, nie dosłyszawszy, cmoknęła bledziutkimi wargami tak, jakby czegoś smacznego skosztowała.

– Czemuż by nie! – zawołała – to prześliczne... ja to widziałam...

I prędko, z zachwyceniem takim, że aż oczy jej błyszczały, opowiadała kuzynkom o wszystkich pięknościach, które czasem w wielkim mieście widywała. Ale kuzynki daleko od niej więcej o tym przedmiocie mówić mogły; bywały przecież u ciotecznej babki swej, bardzo bogatej hrabiny, która to właśnie skojarzyła małżeństwo pomiędzy ich najstarszą siostrą a swym krewnym, niebogatym hrabią. O nim to w tej chwili, o tym przyszłym zięciu swoim, mówił Darzecki Korczyńskiemu.

– Zrozumiesz to łatwo, kochany szwagrze, że do takiej rodziny wchodząc córka moja musi posiadać wyprawę odpowiednią przysłemu otoczeniu i stanowisku, tak, sta-no-wisku. Tę sumkę właśnie, o którą z przykrością, z rzetelną przykrością upominam się u ciebie, przeznaczamy z żoną na jej wyprawę...

– Tak wielką sumę na wyprawę! – nie mogąc już powściągnąć się, tubalnym swym głosem wykrzyknął Benedykt i ręce szeroko rozpostarłszy jak wryty stanął. Ale zaraz musiał naprzód

postąpić ze swym gościem, który ani na sekundę swych drobnych i poskrzypujących kroków nie zwalniając uśmiechnął się i odpowiedział:

– Nie całą, nie całą... ale połowę pewno... Cóż szwagier myśli? Srebra, futra, koronki i inne tam różne kobiece fatałaszkoty są rzeczy kosztowne... bardzo kosztowne. Fortepian z Paryża sprowadzić musimy. Żona moja chce i ja się na to zgadzam, aby córka nasza miała fortepian własny, a kiedy już kupować, to coś pięknego, wykwintnego, doskonałego, tak wy-kwint-ne-go i do-sko-na-łe-go! Prawda? Szwagier sam pewno przyzna mi rację, najzupełniejszą rację.

Czy Korczyński wszystkim koniecznym potrzebom przez szwagra wymienionym rację przyznawał – sam on tylko wiedzieć mógł o tym, ale co pewna, to że z pozoru wyglądał na osłupiałego i całkiem pogwałconego człowieka. Milczał, myślał, ze spuszczoną głową długi wąs do połowy prawie w usta wpychał i zębami zawzięcie przygryzał, aż na koniec z cicha wymówił:

– Może byście więc w tym roku na połowie tej sumy poprzestali... Kilka tysięcy mógłbym jeszcze jakimkolwiek sposobem dostać, ale kilkanaście, od razu...

Uderzył się w czoło tak silnie, że po całym salonie rozległo się jakby kłaśnięcie z bicza, a po wąskich ustach Darzeckiego przebiegło drgnienie niesmaku. Jednak tym samym zupełnie co wprzódę głosem zaczął znowu:

– Niepodobna, kochany szwagrze, tak nie-po-do-bna! Oprócz wyprawy córki mamy inne potrzeby i wydatki, a sam przyznasz,

niezawodnie to przyznasz, że czasy teraz są ciężkie, bardzo ciężkie...

– Niech diabli wezmą takie czasy! – coraz trudniej w tonie delikatności utrzymać się mogąc wykrzyknął Benedykt, ale zaraz głos zniżając i nader uprzejmie dodał: – Szwagierek przynajmniej na ciężkie czasy wyrzekać nie możesz...

– Kto wie? – ze sfinksowym uśmiechem i melancholijnym spojrzeniem w dal zaczął Darzecki – tak, kto wie...

Znowu w rozmowie dwu mężczyzn ta sama, co wprzódy, zaszła przeszkoda. Trzy panienki drogę im zabiegły i na paluszkach przed nimi idąc, z oczami ku Korczyńskiemu wzniesionymi, chórem zaszczębiotały:

– Papcio! Wujaszku, wpadłyśmy na wyborny, doskonały pomysł!

– Śliczny pomysł! – wzbił się nad inne głos Leoni. – Niech papcio sprowadzi cztery posągi, koniecznie cztery: dwa pomiędzy oknami staną, a dwa po rogach salonu!...

– Teraz modnie salony posągami ubierać...

– U nas na pensji są posągi, wprawdzie gipsowe, ale to nic nie szkodzi... zawsze to bardzo zdobi salon... Mój papcio, mój złoty, proszę do naszego salonu sprowadzić cztery posągi, choć gipsowe...

Z nowego osłupienia budząc się Benedykt krzyknął prawie:

– Zwariowałaś, Leoniu, czy co? Ruszaj mi zaraz z drogi i rozmawiać nie przeszkadzaj!

Znowu z tym samym połączeniem śmiechu i obrazy podlotki

frunęły w inną stronę salonu i znowu Witold, którego oczy iskrzyły się pod ściągniętymi brwiami, do siostry przemówił:

– No, poproście jeszcze ojca, żeby ci jaki pałac królewski do Korczyzna sprowadził!

Darzecki zaś za odbiegającymi córkami patrząc, z pobłażliwym uśmiechem mówił:

– Wesoła, swobodna, różowa młodość, wiek szczęśliwy, marzeń pełny!...

A potem zaraz do ostatniego wyrazu przerwanej mowy swej powrócił:

– Kto wie? Kto na pewno wiedzieć może, dla kogo los łaskawy jest lub surowy? Nie narzekam, nie narzekam; w porównaniu z innymi w interesach stoję dobrze, tak, bardzo do-brze. Jednak równowaga ich trochę w ostatnich czasach zachwiana została... trochę...

W na wpół spuszczonej oczach Korczyńskiego przeleciał przy tych słowach gościa zjawiający się w nich czasem błysk mądrej i nieco złośliwej filuterności<sup>74</sup>, lecz zgasił go natychmiast gruby cień troski.

– W zeszłym roku potrzebowaliśmy dom nasz powiększyć i trochę przyozdobić... żonie mojej zachciało się małej oranżerii, do której by wychodzić było można prosto z jadalnej sali... córki moje pragnęły inaczej umeblować swoje pokoiki... ja znowu popełniłem szaleństwo, tak, przyznaję to, szaleństwo – powiozłem je wszystkie za granicę... Podróż sześciu osób

---

<sup>74</sup> *filuterność* – zachowanie prowokujące, zalotne. [przypis edytorski]

kosztowała wiele, ale sprawienie im tej przyjemności było prawdziwą potrzebą mego serca, której odmówić sobie nie mogłem. Słowem, od lat kilku, to jest od czasu, kiedy starsze córki moje dorosły, wydawałem trochę za wiele, tak, za wie-le, i dlatego równowaga trochę się zachwiała...

Wzburzeniu, które szeroką pierś jego podnosiło, folgi trochę dając, z całych sił przeciw hamując się, Korczyński zauważył:

– Ależ, kochany szwagrze, zawsze byłem zdania, że to powiększanie domu, te oranżerie i te wojaże były dla was wcale niepotrzebne!...

O jedną czwartą tonu głos podnosząc i z widoczniejszym niż kiedy wyrazem własnej wyższości na twarzy, Darzecki odpowiedział:

– To względne, kochany panie Benedyckie, tak, bardzo względne. Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, a cywilizacja stwarza w nas potrzeby, gusty, przyzwyczajenia, dążenia, tak, dą-że-nia, które są naszym życiem, których wyrzekając się gwałcimy niejako własną naturę, samą naszą duszę. Człowiek ucywilizowany rozkochany jest w pięknie, w harmonii, w rzeczach wykwintnych, wzniosłych; pragnie on także wrażeń, duchowego zasiłku, umysłowego wzrostu, których bez wytwornego otoczenia, bez podróży i tym podobnych zbytków życia posiadać nie można. Zresztą, mam córki i nikt mi tego za złe brać nie powinien, że pragnę dla nich losu najświetniejszego, tak naj-świat-niej-sze-go. Na koniec, znasz dobrze, kochany szwagrze, moje stosunki familijne. Jedna z ciotek moich wysokie

zajmuje miejsce w kołach arystokratycznych... stryjeczny brat mój, powiększywszy znacznie swą fortunę, posiada dom po książęcemu prawie urządzony. Z tych dwóch źródeł płyną liczne moje znajomości i kuzynostwa. Stosunki zaś do wielu rzeczy obowiązują, niejako zmuszają. Jest to moralna presja, której poddajemy się chętnie, bo daje nam w zamian znaczną, bardzo znaczną sumę przyjemności zupełnie wyższych. Eksplikuję się<sup>75</sup> przed tobą, kochany szwagrze, ponieważ z przykrością, z rzetelną przykrością przychodzi mi kłopotać cię o tę sumkę... Ale znam cię, kochany szwagrze, jako człowieka honoru, serca i rozumu, więc nie wątpię, że gdy nad pozycją moją zastanowić się zechcesz, przyznasz mi rację, najzupełniejszą rację!

Z powierzchowności sądząc nie widać było, aby Korczyński przyznawał szwagrowi najzupełniejszą rację; nic jednak o tym nie powiedział. W zamian, zniżonym i prawie pokornym głosem mówić zaczął o tym, że długu tego ani na chwilę uważać nie przestał za najsprawiedliwszy, że procenty regularnie opłacał i nawet przed kilku laty na żądanie szwagra stopę ich podniósł, że za wielkie wyświadczone mu dobrodziejstwo uważa, iż tak długo nie żądano od niego wypłacenia tej sumy. Potem, z kolei, eksplikował się z przyczyn, które tę wypłatę czynią dla niego niezmiernie trudną i prawie rujnąjącą, wyliczał dochody swe i wydatki, ciężary obarczające Korczyn, starania swe o zachowanie i ulepszenie majątku. Mówił długo, a ponieważ nie chciał, aby dzieci słyszały wszystko, co mówił, głos zniżał

---

<sup>75</sup> *eksplikować się* – tłumaczyć się, uniewinniać. [przypis redakcyjny]

prawie do szeptu, co mowę jego podobną czyniło do odbywanej spowiedzi. Była to spowiedź widocznie męcząca, bo plecy garbiły mu się coraz więcej i wzrok coraz nieruchomiej tkwił w ziemi, a na sfałdowane czoło występowały krople potu. Na koniec, Darzecki u jednej z kanap otoczonych fotelami zatrzymał swe drobne, poskrzypujące kroki i na jeden z fotelów opuścił się w ten sposób, że można go było wziąć za siadający posąg. Benedykt usiadł także i przestając mówić słuchał długich i płynnych wywodów szwagra o różnych źródłach kredytu istniejących, a także takich, które by tylko istnieć mogły; o kapitale, który ludzie nie dość postępowi znieruchomniają w niewycinanych lasach, o zyskach, które on sam spodziewa się osiągnąć z powiększonej swej gorzelnii i nowo przez się założonej olejarni, o łączeniu przemysłu z gospodarstwem rolnym; o różnych systemach gospodarskich we Francji, Niemczech, Belgii, Holandii. Skończył na tym, że doradzał szwagrowi albo sprzedanie zaniemeńskiego lasu, albo pożyczanie wiadomej sumy u jednego z kapitalistów miejskich, z którym on sam posiada niejaki stosunki i szwagra zaznajomić gotów, który wprawdzie zażąda procentu wyższego, daleko nawet wyższego nad ten, jaki Benedykt płacił dotąd siostrze, co jest smutną, ale nieuniknioną koniecznością budzącą w nim samym żal, rzetelny żal, ale jeżeli tylko kochany szwagier zastanowić się zechce, nie tylko tego nalegania i tych strat, które poniesie, za złe mu nie poczyta, ale pozycję jego i jej potrzeby wyrozumiawszy przyzna mu niezawodnie rację, naj-zu-peł-niej-szą ra-cję. Korczyński

jednemu tylko z tych punktów rację przyznawał: winien był siostrze kilkanaście tysięcy i oddać je, skoro tego stanowczo żądano, było jego bardzo naturalnym i prostym obowiązkiem. O sprzedaży lasu myśleć będzie i z kapitalistą zaznajomi się. Prawdopodobnie drugiego środka użyje raczej niż pierwszego, chociaż jakim sposobem z tej lichwy wylezie, gdy raz w nią wlezie, sam nie wie i nie rozumie. Szwagier utrzymuje, że racjonalniej byłoby las sprzedać; może i jest w tym słuszność, ale są znowu względy, które...

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.